



Gazeta Sremska

5-6/2018
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
maj/czerwiec
rok XXVIII
cena 5 zł

KULTURALNA NOĆ

9/06/2018



W numerze



Stanisław Celichowski

Z cyklu *W stulecie powstania wielkopolskiego* dr Kazimierz Krawiarz przedstawia sylwetkę dowódcy kompanii kornickiej

str. 3



Rzeźbiarz wyobraźni

Wspomnienie dr Barbary Siwińskiej o Andrzeju Sztylerze w pierwszą rocznicę śmierci

str. 8



Jan od kultury

Jan Sip – entuzjasta żyjący tym, co robi. Mało kto nie zna jego lekko pochylonej sylwetki, gdy energicznym krokiem przemierza Jeziorany. O Janie Sipie opowiada B. Nowicka.

str. 22

Spis treści

str. 02 444 słowa redaktora naczelnego
str. 03 Stanisław Celichowski
str. 05 Wyprawa zbąszyńska (fragment)
str. 08 Rzeźbiarz wyobraźni
str. 11 Pięćdziesiąt lat później (Złote Struny)
str. 14 „Maciuś”. Historia sentymentalna. Cz. 3
str. 18 Wańscy. Opowieść o rodzinie.
Uzupełnienie
str. 22 Jan od kultury
str. 26 Jestem, więc pytam: Wódz
str. 29 Grzegorz Jankowiak *** (*przy-jaźń...*)
str. 30 Transylwania
str. 32 Ludzie, których spotkałem: Marek Kotański
str. 34 Kwestionariusz kultury: Paula Piasecka

str. 36 Nasz Talent: Krystian Skotarczak
str. 38 Kino niewidzialne: *Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma*
str. 40 Z górnej półki: Pijana makrela i inne cykorie
str. 42 Warto przypomnieć: Pan od poezji
str. 44 Okiem belfra: Słowacki wielkim poetą był?
str. 45 Niecodzienni pacjenci
str. 48 Zapiski z letnich podróży. Podlasie. Cz. 3
str. 51 Wieści z ratusza
str. 54 Muzeum – wydarzenia
str. 56 ŚOK – wydarzenia
str. 57 Biblioteka – wydarzenia

444 słowa redaktora naczelnego

W 1994 roku do Muzeum Śremskiego trafił wielki kawał starego drewna, który roboczo nazwaliśmy „kłodą”. I nazwa, i drewno są z nami do dziś. Nazwanie rzeczonoego przedmiotu „kłodą” było nieco pośpieszne i co za tym idzie nieprecyzyjne. Kłoda jednak to raczej martwy pień drzewa, a nie, jak w tym przypadku, połowa przeciętego wzdłuż pnia, do tego z wydrążonym środkiem. Teraz wszyscy Państwo wiecie, że usiłuję opisać fragment najprawdopodobniej rynsztoka. Mówię najprawdopodobniej, bo to opinia wstępna. Ja się na wykopaliskach i kanalizacji specjalnie nie znam, ale, jak mawia Stanisław Tym, skoro się nie znam, tym bardziej się wypowiem.

Kiedy człowiek zaczął prowadzić osiadły tryb życia, rozpoczął jednocześnie zanieczyszczanie środowiska naturalnego. To oczywista konsekwencja zwiększenia liczby istot ludzkich na stosunkowo zamkniętym obszarze. Wytwarzane przez osadników zanieczyszczenia higieniczne i bytowe zaczęły wymagać odprowadzenia, czyli skanalizowania (do rzeki i morza). Tak powstała inspiracja do wynalezienia kanalizacji, wynalazku może równie doniosłego jak koło i Internet. Nota bene mówimy przecież o sieci kanalizacyjnej, sieci bez której świat nie zostałaby globalną wioską, a ludzkość wyginęłaby w kręgu własnych odchodów. Jak łatwo się domyślić kanalizacje są pochodną rozwoju wielkich starożytnych cywilizacji datowanych co najmniej na 3500 lat p.n.e. Były to rozległe systemy rur zamkniętych pod powierzchnią ulic. Średniowiecze kojarzy się zwykle z otwartym systemem ściekowym, który przejmował nieczystości różnego pochodzenia wylewane bezpośrednio na ulicę do zagłębienia między umowną jezdnią a umownym chodnikiem, czyli rynsztoka. Śmierdziało, a dobrze czuły się z tym jedynie gryzonie i bakterie choro-

botwórcze. Z tego czasu także w Polsce znane są różne rozwiązania kanalizacyjne. Ścieki odprowadzano również w Śrebie. Problem ścieków narastał wraz z rozwojem przemysłu i gwałtownym rozwojem miast, a co za tym idzie realnym zagrożeniem epidemiami, zwłaszcza cholery. Duże organizmy miejskie w drugiej połowie XIX wieku wyposażano w rozbudowane systemy sanitarne, nawet z oczyszczalniami ścieków.

Dopiero specjalistyczne badania znaleziska dokonane przez pracowników śremskich wodociągów, podczas prac ziemnych przy ulicy Kościuszki, pozwoliły na w miarę precyzyjne datowanie „kłody” (drewnianego koryta pełniącego rolę fragmentu śremskiej sieci kanalizacyjnej w przeszłości). Jeśli potwierdzą się nasze, muzealników, oczekiwania obiekt stanie się atrakcją nowej ekspozycji muzealnej. Może to być szczęśliwy finał tułaczki „kłody”, której jakby inne kłody stawały na drodze.

W grudniu 1940 roku inny fragment zapewne tej samej instalacji sanitarnej został wykopany i całkowicie zignorowany naukowo zniknął z tego świata. Odkryta przypadkowo „kłoda” w latach 90. trafiła na szczęście do Muzeum Śremskiego, ale po przeprowadzeniu prostych i niekosztownych prac zabezpieczających została schowana w przyjaznym środowisku ziemnym oczekując na sprzyjające prezentacji czasy. Potem przepełdzona rozwojem infrastruktury muzealnej zmieniła miejsce przechowywania, by w wyniku kolejnej ekspansji muzealnych obiektów znaleźć się w poczekalni do lepszej przyszłości.

Ale „kłoda” się nie niecierpliwi, bo jest wyrozumiałym obiektem przeszłości starej jak ludzka cywilizacja i o niej milcząco opowiadającym świadkiem.

Mariusz KONDZIELA

Stanisław Celichowski

Dowódca kompanii kórnickiej batalionu śremskiego

W stulecie powstania wielkopolskiego

Urodził się 25 września 1885 r. na Prowencji Bnińskim, jako syn dr Zygmunta (plenipotenty dóbr Zamoyskich) i Zofii z Ziemnych. W 1904 r. ukończył Gimnazjum im. Marii Magdaleny w Poznaniu, gdzie należał do tajnego koła samokształceniowego. Studia prawnicze ukończył w 1907 r., a w 1910 r. obronił doktorat obojga praw na Uniwersytecie w Halle (Saale).

W 1913 r. w Ostrowie Wlkp. otworzył kancelarię adwokacką, w latach 1915-1916 był zastępcą generalnego notariusza w Pleszewie. W 1916 r. otrzymał posadę adwokata przy Nadziemskim Sądzie w Poznaniu.

W październiku 1918 r. z ramienia Komitetu Obywatelskiego na pow. śremski pełnił funkcję komisarza pełnomocnego. Dnia 11 listopada 1918 r. z inicjatywy Sylwestra Gawrycha utworzono Radę Robotniczą w Kórniku, w której pełnił funkcję wiceprzewodniczącego. Gdy 15 listopada również z inicjatywy Sylwestra Gawrycha powołano pierwszą kompanię kórnicką, został zastępcą dowódcy Mariana Jarosława Trawińskiego.

Dnia 27 grudnia, gdy padły pierwsze strzały pod Hotelem „Bazar” w Poznaniu, Sylwester Gawrych wezwał kompanię kórnicką do Poznania. Stanisław Celichowski należał do ugodowej frakcji, ale uczestniczył w zbrojnej akcji kompanii kórnickiej w Poznaniu. Dowodził akcją w dolnej części miasta (pocztą, arsenał wojskowy, Garbary). W dniu 30/31 grudnia kompania kórnicka brała udział w przejęciu Śremu. Dnia 1 stycznia ogłoszono wystąpienie ze związku Rad Rzeszy Niemieckiej i ogłoszono niepodległość Rzeczypospolitej Kórnickiej. Po powrocie

kompanii kórnickiej z Poznania do Kórnika, w dniu 29 grudnia, w porozumieniu z władzami powiatowymi włączono kompanię kórnicką do batalionu śremskiego, jako IV kompanię a dowództwo jej powierzono Stanisławowi Celichowskiemu. Marian Trawiński został dowódcą II kompanii batalionu śremskiego.

Dnia 6 stycznia 1916 r. z rozkazu Naczelnego Dowództwa, w ramach batalionu śremskiego wyruszył pod Zbąszyń, z miejscem kwaterowania

Stanisław Celichowski, członek honorowy korporacji akademickiej Filomatia Posnaniensis



kompanii w Łomnicy. Krwawe walki pod Strzyżewem, Zbąszyniem i obronę Łomnicy opisał w 1935 r. we wspomnieniach *Wyprawa zbąszyńska*.

Dnia 6 lutego kompania kórnica pod dowództwem Celichowskiego (IV kompania batalionu śremskiego) skierowana została do Nadarzyna pod Miejską Górką, gdzie przebywała do listopada 1919 r., zabezpieczając odcinek frontu rawickiego. W czerwcu 1919 r. został dowódcą II Batalionu 11 Pułku Strzelców Wielkopolskich z zadaniem obrony odcinka Jutrosin-Krotoszyn-Odolanów. Od 28 grudnia 1919 r. kierował Wydziałem Wojskowym w Ministerstwie byleż Dzielnicy Pruskiej, a w połowie stycznia 1920 r. został jego delegatem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie i pełnił tam swoje obowiązki do września. Po powrocie do Poznania zajął się adwokaturą.

Do polityki powrócił w 1926 r. po przewrocie majowym. Został wtedy członkiem Organizacji Obrony Państwa wymierzonej przeciwko J. Piłsudskiemu. Współpracował z Romanem Dmowskim i w grudniu 1926 r. otrzymał nominację na funkcję oboźnego Obozu Wielkiej Polski.

We wrześniu 1928 r. został kierownikiem Wydziału Samorządowego w Zarządzie Okręgowym Stronnictwa Narodowego. W latach 1928-39 był członkiem Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego w Warszawie, a w latach 1935-1939 był członkiem Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego. Pełnił też szereg kierowniczych funkcji w wielu organizacjach społecznych. Był prezesem Związku Towarzystw Powstańców i Wojaków DOK V w latach 1930-1934, w latach 1929-1934 wiceprezesem organizacji byłych wojskowych Legionu Wielkopolskiego i w latach 1936-1939 Związku Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Polsce. Działał w Straży Narodowej, Towarzystwie Samoobrony Społecznej „Rozwój” w Obronie Społecznej i Stowarzyszeniu Porządku Społecznego.

W 1934 r. w Poznaniu założył oddział Narodowego Zrzeszenia Adwokatów, którym kierował. Był w latach 1934-1939 członkiem Zarządu Głównego. Pełnił również obowiązki członka Wydziału Izby Adwokackiej i Wydziału Wyko-

nawczego Naczelnej Rady Adwokackiej.

Z ramienia Stronnictwa Narodowego w latach 1932-1939 zasiadał w Poznańskim Sejmiku Wojewódzkim jako przewodniczący Komisji Regulaminowo-Organizacyjnej. W grudniu 1938 r. wybrano go przewodniczącym Klubu Narodowego w Radzie Miejskiej Poznania. Jego wybór na prezydenta miasta nie został zatwierdzony przez władze państwowe.

W 1939 r., po wybuchu wojny, dnia 3 września, został mianowany Komendantem Straży Obywatelskiej w Poznaniu, nazajutrz jednak udał się do Lwowa. Po aresztowaniu przez Rosjan i innych tarapatkach, w 1941 r. udało mu się dostać do Wielkiej Brytanii, gdzie nawiązał kontakty z rządem emigracyjnym. Wszedł w skład II Rady Narodowej i w latach 1942-1943 przewodniczył grupie działaczy Stronnictwa Narodowego. W ministerstwie Odbudowy Administracji Publicznej Rządu Londyńskiego od 1943 jako sekretarz stanu kierował pracami przygotowawczymi nad przyszłą administracją ziem odzyskanych. Oprócz tego wykładał prawo cywilne na polskim wydziale prawa uniwersytetu oksfordzkiego. Po zakończeniu wojny pozostał w Wielkiej Brytanii. W 1945 r. wydał tam książkę pt. *Prawo cywilne na Ziemiach Zachodnich Polski*.

W okresie międzywojennym brał udział w upamiętnieniach dotyczących kompanii kórnickiej: tablica na budynku hotelu „Victoria”, grób powstańców wielkopolskich na cmentarzu w Kórniku i w Bninie.

W 1993 r. z inicjatywy Zygmunta Celichowskiego, bratanka Stanisława dokonano renowacji kaplicy cmentarnej Celichowskich w Bninie. Zamontowano tam tablicę upamiętniającą Stanisława Celichowskiego.

Zmarł 29 marca 1947 r. w Londynie i został pochowany na St. Mary's Catholic Cemetery w Kensal Green.

Kazimierz KRAWIARZ

Opracowano na podstawie własnych materiałów oraz artykułu opublikowanego w „Kórnicaninie” Nr. 5 (37) z maja 1991 r.

Stanisław Celichowski

Wyprawa zbąszyńska

(fragmenty)

Dowódcy i oddziały

Wyprawa zbąszyńska przedstawia mi się jak jakaś romantyczna epopeja o barwnej akcji i dramatycznym jej przebiegu. Złożyło się na to kilka okoliczności. W pierwszej linii zespół ludzi, którzy w niej brali udział, ciekawy teren, na którym się ona rozwijała i wreszcie świadomość pierwszego wkroczenia we własną narodową wojnę.

Ciekawe to było towarzystwo, które 6 stycznia 1919 r. zebrało się w Kościecianie w transporcie kolejowym, odchodzącym na front pod Zbąszyń, tym razem front polski. Baon śremski z kompaniami kórnicką i śremską oraz kompanią jarocińską zjednoczyły się w tym pociągu w pierwszą większą jednostkę bojową pod wspólnym dowództwem.

Najcharakterystyczniejszą postacią w tym wesołym, w podnieconym, uroczystym nastroju jadącym wojsku był niewątpliwie ppor. Ostroróg-Gorzeński z Tarczec.

„Ciekawie było patrzeć – pisze anonimowy autor *Historji baonu śremskiego* – na tę charakterystyczną postać komendanta batalionu jarocińskiego. Zamaszysta staropolska postać, jeszcze w pruskim, na prędcie na polski – wedle własnego pomysłu – przerobionym mundurze, z dużą karabellą i pagonami biało-czerwonymi z orzełkiem, wyglądał jak typowy „druh komendant”, jak go powszechnie nazywano”. Patrząc na tego otyłego, wiekiem już steranego oficera w barwnym, fantazyjnym stroju, więcej jeszcze przyglądając się jego postępowaniu, miało się wrażenie, że to ostatni szlachcic – towarzysz pancerny, cudem jakimś z wyprawy wiedeńskiej przeniesiony w dzisiejsze czasy.

Wrażenie to nie było przypadkowe, gdyż komendant Gorzeński z całą świadomością pielęgnował tradycje rycerstwa polskiego. O nieskazitelnym

charakterze i niepospolitej odwadze uważał za swój obowiązek nieść swe życie w ofierze „za wiarę i ojczyznę”. Jak dawni rycerze polscy podczas ewangelji wyciągał do połowy z pochwy szablę – a my wszyscy za nim – na znak, że każdej chwili do obrony wiary i ojczyzny jest gotów. Ta jego staroświeckość polska, przy pogodnym przytem humorze zrobiła go ulubieńcem nie tylko własnego baonu, lecz wszystkich nas pod Zbąszyńiem zgromadzonych. Nić go lepiej nie charakteryzuje, jak zachowanie się jego w przeddzień bitwy pod Zbąszyńiem, gdy Naczelne Dowództwo w zrozumieniu jego zalet mianowało go dowódcą wojskowego okręgu południowego w Jarocinie, z wezwaniem do objęcia natychmiastowego swych nowych obowiązków. Nie mógł się pogodzić z tą myślą, że jego ukochana kompanja pójdzie do tej pierwszej wielkiej, a tak krwawej rozprawy bez niego. To też został do dnia następnego i, chociaż wiek i astma nie pozwoliły mu biec do szturm, to za obowiązek swój poczytał, kompanję wyprowadzić przynajmniej z okopów w grad kul i granatów.

W porównaniu z komendantem jarocińskim, komendant baonu śremskiego, por. Stefan Chosłowski z Ostrowiecza był typem nawskroś nowoczesnym. Także ziemianin, z najlepszymi tradycjami narodowymi ziemiaństwa wielkopolskiego był dzieckiem wielkiej wojny, starając się w miarę możliwości zastosować jej taktyczne i techniczne zdobycze. stąd jego zamiłowanie do wszelkiego rodzaju broni specjalnych, w szczególności zaś do stworzenia oddziału łączności. Charakteryzuje tego organizatora baonu śremskiego systematyczna celowość jego zarządzeń i konsekwentność w ich przeprowadzeniu. Podziwiałem zawsze, z jaką bezwzględnością podporządkowywał wszystko celom wojennej

wyprawy bez oglądania się na to, czy w danym momencie jego zarządzania mają formalną podstawę prawną; czy to będzie zmuszenie kierownika lokomotywy do jazdy, czy zarekwirowanie lokomotywy od pociągu osobowego mimo protestu pasażerów dla transportu wojskowego w drodze do Miejskiej Górki, czy zarekwirowanie koni dla baonu, czy wreszcie odplombowanie gorzelni w Łomnicy dla uzyskania wódki celem pokrzepienia wojska lub ewakuowania cukru z cukrowni w miejskiej Górcie. Zawsze szybkie i celowe swe decyzje przeprowadzał stanowczo z pełnym poczuciem odpowiedzialności. To też żołnierz odnosił się z pełnym zaufaniem do niego, do czego dopomagał mu jego wrodzony talent zyskiwania sobie sympatii w osobistym zetknięciu się zarówno z oficerami jak i żołnierzami.

Do pomocy miał przytem w osobie Czesława Domagalskiego doskonałego adiutanta, biurokratę w najlepszym tego słowa znaczeniu, który nie tylko z drobiazgową sumiennością dopilnowywał wykonania zarządzeń swego dowódcy, lecz nieraz i hamował zbyt szeroki rozmach, gdy uważał że mógłby być szkodliwy.

Ziemianinem był także Wiktor Unrug z Melpina, dowódca konnicy naszej. Chociaż nigdy nie był żołnierzem, z chwilą wybuchu powstania zgłosił się do szeregu i z synów okolicznych ziemian i ich służby folwarcznej stworzył oddział konnicy, który wszedł później w skład 1 pułku ułanów. Braki wykształcenia wojskowego zastąpił u niego gorący patryjotyczny poryw i rasowa zdolność szlachecka do konnicy.

Czwartym wreszcie ziemianinem z wyższych szarż był Daniel Kęszycki z Błociszewa. Z urodzenia i temperamentu szlachcic polski, z wychowania zaś Anglik-sportsmen, b. podoficer od kulomiotów, wraz ze swoim fuszpanem i 2 fornalami dowodził osobiście kulomiotem sztabowym baonu. Takim jak on musieli być oficerowie armji angielskiej w roku 1914, gdy u granic Belgji ciałami swemi tarasowali napór przeważających sił niemieckich ku morzu. Dbałość o honor gentelmana była najwyższym drogowskazem w jego poczynaniach. Gdy podczas szturm na Strzyżewo wyrażałem mu moje uznanie za odwagę i pogardę śmierci, z jaką wraz ze swoimi ludźmi wycofał pod gradem kul swój kulomiot z zagrożonej pozycji, odrzekł mi z cechującą go skromnością i szczerością: „Możeby i sam stchórzył

i kulomiot zostawił, ale mi wstyd było moich fornali”. Kochał swój kulomiot, z którego zresztą sam strzelał świetnie, mając z wychowania spokój i zimną krew Anglika.

Gdy pod koniec wyprawy zbąszyńskiej wisiła nad nami groźba nowego ataku niemieckiego, przy łóżku, w pokoju który z nim razem dzieliłem, ustawiał na noc kulomiot, zdecydowany bronić się do ostateczności. [...]

Oryginalnemi, jak ich dowódcy, były także poszczególne jednostki bojowe.

Nie były to bowiem jednolicie uformowane oddziały wojskowe, lecz każdy z nich miał swoją indywidualną historję powstania i psychikę. Każdy był inny; wspólnem im było tylko ich osobiste zespolecie z dowódcami, nie z przydziału i rozkazu, lecz dowódcami, których na te stanowiska wynosiła ich rola kierownicza w danej okolicy, skąd pochodzili, w życiu społecznem i narodowem. Według terminologii hitlerowskiej byli to „Führerzy”, którzy w chwili akcji zbrojnej stanęli do walki na czele swojej organizacji bojowej danej okolicy.

Wspominałem już o naszej „kawalerji”. Tak wyglądając musiały oddziały partyzantów w 63 roku i z podobnych elementów się składać. Synowie ziemiańscy wraz ze służbą folwarczną, częściowo wojskowo nie wyszkoleni, przeważnie bez mundurów, tworzyli jednostkę bojową, od której byłby się odźiegał każdy zawodowy oficer kawalerji. Łączył tych ludzi tylko gorący patriotyzm, gotowość do poświęceń i zamiłowanie do konia. To też oddział ten spełnił chlubnie swoje zadanie. Rekonesanse ich w nieznane bory i okolice, zamieszkałe wroga ludnością, dawały bataljonowi w Łomnicy pewne uspokojenie co do położenia. Rekonesanse te pełne niebezpieczeństw znajdą może kiedyś swego epika, nas pozostałych w kwaterach napawały zaś zawsze troską o ich los. Bujne i pełne fantazji zaś było życie wewnątrz tego oddziału, którego dowódca razem z żołnierzami i końmi kwaterował w owczarni dominjalnej. Sławne były w oddziale *obiady, na które się często składała gotowana czekolada, z domu przywieziona i skopowina z własnych funduszy na miejscu zakupywana*. To też przy zdrowym apetycie żołnierskim wielkie w owczarni poczynili wyrwy. [...]

Taką samą, choć później utworzoną „kompanją bezpieczeństwa” była kompanja śremska. Nie

była jednak tak zespolona i dobrana, z punktu widzenia narodowego, jak poprzednia, gdyż powstała pod egidą częściowo niemieckiej „Rady Robotników i Żołnierzy w Śremie”, to też mimo dobrego dowódcy por. Musielewskiego, artylerzysty wsławionego później – 10.2.1919 r. – bitwą pod Zieloną Wisłą, przedstawiała niewielką siłę bojową i nieraz zawodziła.

Zupełnie oryginalną kompanią była kompania kórnicka. Choć włączona w formy organizacyjne kompanii wojskowej, w swych pierwszych początkach nie była podobna do zwykłej kompanii. Jeżeli bym ją do czegoś chciał porównać, to powstaniem i zespołem ludzi przypominała nieco klan szkocki. Składała się wprawdzie z 3 plutonów, lecz plutony te były znów swego rodzaju małymi „klanikami”.

Charakteryzowało kompanię ściśle związanie z okolicą, z której pochodziła, z jej tradycjami i historią. Miała więc charakter patryjarchalnoterytorialny. Obok gorącego patriotyzmu ogólnonarodowego cechował ją patriotyzm lokalny, kórnicki, dbałość o honor swych miasteczek i wsi. Walczyła nie tylko o wolność i świetność Polski, lecz także i o to, by do wawrzynu zasług patriotycznych Kórnik, wsławionego już atakiem na most chwaliszewski w roku 1846, nowy dołączył listek. Była przecież wojskiem Rzeczypospolitej Kórnickiej, a miała już za sobą chwałę walk o oswobodzenie Poznania 27 grudnia 1918 roku. Odznaczała się zaś doborem ludzi, zarówno pod względem narodowym, jak i wojskowym. Wstęp do niej miał tylko żołnierz-Polak, który co najmniej służył 6 miesięcy w wojsku pruskim. Psychika jej ludzi stała pod wpływem narodowego wykształcenia przedwojennego, tradycji patriotycznych dziedziców Kórnik, Działyńskich i Zamoyskich, oraz ich pełnomocnika dr Zygmunta Celichowskiego. Współpraca lokalna na niwie narodowej i społecznej wiązała ich ściśle z ich dowódcą, pod Kórnikiem rodzonym.

Tak zaś, jak kompania miała swój ogólny honor kórnicki, tak znowu poszczególne plutony miały swój dalszy honor lokalny. I tak pluton 1 rekrutował się prawie wyłącznie z miasta Kórnik i jako pochodzący z „metropolii” uważał się za rodzaj gwardji, do czego dochodziło, że składał się przeważnie z synów mieszczańskich, wśród których znowu ośrodkiem stanowili harcerze. Dowodził nim stary żołnierz pruski ppor. Olsztyński,

równocześnie zastępca dowódcy kompanii. 2 pluton miał swój ośrodek w Robakowie i Gądkach i składał się prawie wyłącznie z synów włościańskich i robotników rolnych i stał pod dowództwem urzędnika gospodarczego Walkowiaka, syna włościana z Robakowa. 3 pluton wreszcie rekrutował się z Bnina i okolicznych wiosek i miał charakter mieszany małomieszczańsko-wiejski. Dowodził nim Zięta, syn robotnika o gorącym patryjotyzmie, wielkiej odwadze i szlachetnej ambicji. Wszystkie 3 plutony zazdrośnie czuwały nad tem, by żaden nie wywyższał się nad drugiego, by miały równe uzbrojenia i w walce szlachetną rywalizacją starały się każdy dla siebie przyczynić jak najwięcej chwały dla kompanii. Ta rywalizacja zresztą, jak świetne wydawała rezultaty w walce, nastroczały nieraz wiele trudności dowódcy, który nieraz zbytnią jej wybujałość musiał ukracać.

Tworzyła pozatem kompania jedną wielką rodzinę, której głową, nie tylko dowódcą, był jej komendant, oraz sierżant sztabowy Stanisław Pohl. Dawało to kompanii zupełnie inną wartość, jak zwykłej formacji wojskowej. Lecz mieściło to w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Gdy po zwycięskiej potyczce pod Łomnicą kompania straciła 10 zabitych, 8 rannych, tj. 1/4 swego stanu bojowego, żołnierz, który stracił tylu znajomych i przyjaciół, psychicznie się załamał, chociaż tylko na chwilę. Uratował zdolność bojową kompanii jej honor kórnicki. Gdy bowiem dowódca, widząc załamanie się kompanii, oświadczył jej, że zwalnia ich z zobowiązania – byli to przecież ochotnicy – i pozwala im wrócić do domu, on sam jednak zostaje, gdyż uważa za swój obowiązek wytrwanie na stanowisku, że powinni jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak zostaną przyjęci w domu, gdy wrócą bez dowódcy, przynębienie minęło i kompania stała się znowu tem czem była, świetną jednostką bojową. [...]

Nad tem wszystkim zaś panował jednolity nastrój patryjotyczny, świadomość wspólnego przeżywania chwil wielkich. Żołnierz wielkopolski, kształcony na wielkich wzorach historii i poezji narodowej, marzył przecież by wejść w ślady tych, którzy sławę imienia polskiego utrwaliли pod Grunwaldem, Kirholmem, Chocimem i Wiedniem.

[...]

Rzeźbiarz wyobraźni

*A gdy odchodzę, odchodzi
tylko cząstka mnie*
Peter Maffay

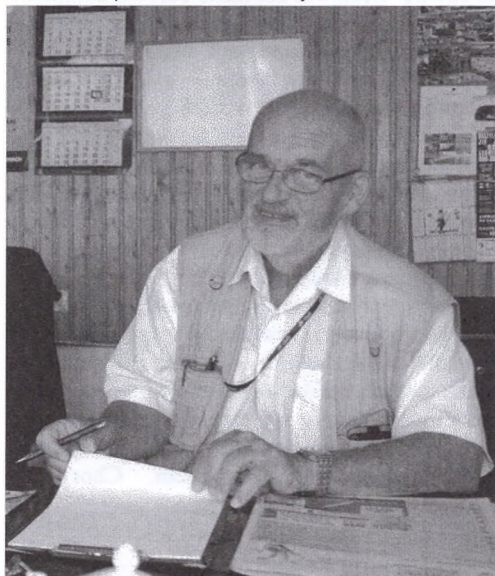
Pamiętam jak dziś. To był rok 2003. Na umówione przez redaktora naczelnego spotkanie z nowym pracownikiem „Tygodnia Ziemi Śremskiej”, panem Andrzejem Sztylerem, spóźniłam się kilkanaście minut, gdyż niespodziewanie przeciągnął się zabieg operacyjny.

Ten słusznej postury mężczyzna stał nieruchomo, jakby zastygły, oparty o filar na szpitalnym korytarzu i cierpliwie czekał. Miała to być kilkuminutowa rozmowa. Chciał mnie poznać. Rozstaliśmy się po kilku godzinach wzajemnej wymiany zdań. Odniosłam wrażenie jakbyśmy znali się od za-

wsze. Ci sami ulubieni bohaterowie powieści, te same ulubione fragmenty poetyckich dzieł, taka sama wrażliwość na nieszczęście ludzkie, nawet najmniejsze przejawy niesprawiedliwości. Pod maską spokoju, opanowania, ukrywał nadwrażliwe gorące serce, wyraźnie skrywając swoje emocje w czasie rozmowy.

Nawet Wrocław, miejsce urodzenia pana Andrzeja, był mi bliski, bowiem na Biskupinie mieszkała moja ulubiona ciocia Zosia. Często u Niej bywałam, także wówczas gdy otrzymała wiadomość o śmierci jedynego syna znalezionej na rzecznej śluzie, zamordowanego w partyzanckich porachunkach. Dla pana Andrzeja to piękne miasto, które ukochał ponad wszystko, było miejscem gdzie spędził dzieciństwo, dorastał, w tamtejszym uniwersytecie ukończył studia na kierunku filologii polskiej.

Fot. arch. „Tydzień Ziemi Śremskiej”



Pracę zawodową podjął we Wrocławskich Zakładach Elektronicznych ELWRO, które były producentem pierwszych polskich maszyn cyfrowych ODRA. Już w latach 70. aktywnie działał w antykomunistycznym podziemiu, był współorganizatorem biblioteki wydawnictw niezależnych, kolportował książki Niezależnej Oficyny Wydawniczej i Głosu, czasopisma „Robotnik” i „Biuletyn Dolnośląski”. Był głównym organizatorem strajku w ELWRO w sierpniu 1980 roku, które były reakcją na podwyżki cen mięsa i wędlin wprowadzone przez ówczesną ekipę rządzącą. Fala strajków w całej Polsce doprowadziła do powstania NSZZ „Solidarność”. Został przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w tym zakładzie, a po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku stanął na czele strajku. Po interwencji ZO-

MO i spacyfikowaniu ELWRO, aresztowano przywódców i osadzono w Ośrodku Odosobnienia w Grodkowie. Na ultimatum: więzienie lub wydalenie z kraju wybrał to drugie. Wyjechał do Francji, a po kilkumiesięcznym pobycie w obozie przejściowym dla uchodźców politycznych, zamieszkał w Marsylii. W 1985 roku wrócił do kraju, nie ustawał w działalności, systematycznie i w dużych ilościach drukował w podziemiu pisma „Solidarność Walcząca” i „Solidarność Dolnośląska”. Cały czas nie był nigdzie zatrudniony, a jedynym źródłem utrzymania były prowizje za druk nielegalnej „bibuły”. Prawdziwy ideowiec, nękany przez UB.

W wolnej Polsce założył własną działalność gospodarczą: redagował przewodniki turystyczne, poradniki wędkarskie, był dziennikarzem koszańskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, redaktorem naczelnym pisma „Moreny”, pracował w „Nowinach Jeleniogórskich”. Nadzwyczaj pracowity, podejmował różne zadania i tematy. Ten życiowy wagabunda poszukiwanie swego stałego miejsca pobytu zakończył w Śremie, następnie w Zaniemyślu, który okazał się Jego ostatnim etapem ziemskiej wędrówki. Znalazł tu ciepły rodzinny dom, w którym czekała oddana Żona oraz ulubiony pies, o którym mówił: „to on mnie wybrał, bo wszedł do samochodu gdy byłem w Gaju”. Zabiegał o to schronisko i odwiedzał je przez wiele lat. Miał też nareszcie stałą posadę redaktora poczytnego tygodnika „Tydzień Ziemi Śremskiej”, życzliwych współpracowników i redaktora naczelnego. Pisał nocą, w cieple domowego ogniska, w ciszy, skupieniu, w przepelnionym książkami i dokumentami malutkim pokoiku. Pasjonował się wędkarstwem, znał niemal wszystkie akweny wodne Pojezierza Draw-

skiego oraz nasze śremskie i oczywiście Wartę. Relaksowały go długie spacerunki w pobliskim lesie, a także druga pasja, którą była gra w boule. „Zaraził się” nią we Francji, spopularyzował na łamach gazety i razem z grupą śremskich zapaleńców, także współpracowników, współorganizował największe turnieje w kraju. Grywano też za granicą. Wiem to ze słyszenia, bowiem nie dzielam tej pasji.

Natomiast z uwagą, jako stały czytelnik śremskich gazet szczególnie Jego gazety, śledziłam Jego zawodowe poczynania. Od Jego tekstów zaczynałam lekturę. Czytało się wspaniale. Szczególnie upodobał sobie trudne, kontrowersyjne sprawy. Tematy przemysłane, dopracowane, pisane piękną polszczyzną, ciekawe, nasycone emocjami, szczególnie gdy opisywał z jednej strony ludzką krzywdę, a podłość, znieczulicę, z drugiej. Stał zawsze po stronie pokrzywdzonego, szukał sprawiedliwości, był jego adwokatem. Gdy chwaliłam Jego pisanie, dziękował „za miłe słowa, które często znaczą więcej niż wierszówka płacona przez redakcję”. I dalej: „z wolna zaczynam pisywać niektóre swoje teksty, myśląc o tym jak zostaną ocenione przez Panią, proszę mi powiedzieć, że nie jest to żadna poważna choroba”. Z zadowoleniem obserwowałam jak z miesiąca na miesiąc, za Jego przyczyną, „Tydzień Ziemi Śremskiej” stał się najpoczytniejszą i zdaniem wielu, najbardziej opiniotwórczą gazetą w regionie. Widywałam pana Andrzeja sporadycznie, na sesjach czy w czasie innych środowiskowych spotkań; gdy spotkały się nasze oczy, przez moment zastygał, a potem rozjaśniało się Jego i moje oblicze. Specyficzne, tajemne porozumienie? Wejście w duszę?

W listopadzie 2016 roku, tuż przed uhonorowaniem mnie przez środowisko tytułem „Honorowy Obywatel Śremu” przeprowadził ze mną wywiad, który w efekcie zajął prawie dwie strony gazety. Nasze spotkanie trwało kilkanaście minut, ale moje lekarskie oko spostrzegło, że nie był to już ten sam mocarny człowiek. Nie skarżył się. Nie dociekałam.

Zupełnie przypadkowo z początkiem 2017 roku dowiedziałam się, że jest chory. A było tak: prosiłam o napisanie artykułu o dołskiej kozie, właściwie jej rzeźbie, której właśnie „minęło 5 lat”. Rodzina pani dr Teresy Kamińskiej miała zamiar ufundować obok dużej, małą kózkę. Napisał *Kozy a medycyna*. Wówczas zwierzył się, otworzył. Zasugerowałam rozpoznanie, które dawało nadzieję. Z tego okresu pochodzi kilkadziesiąt maili i tyleż samo SMS-ów, które wymieniliśmy. Istniałam w nich jako „mocna grupa pod wezwaniem”. I rzeczywiście w czasie pobytu w śremskim szpitalu i potem w poznańskiej klinice grupa moich przyjaciół pomagała jak tylko i kiedy tylko mogła. Widząc budzącą się nadzieję na powrót do zdrowia obiecał mi ogromny bukiet kwiatów. Sam wiedział jakich: ogrodowych fiołków lub konwalii. Moich ulubionych.

Gdy jeden z maili podpisał „wyrobnik pióra” zachnęłam się. Uspokoily mnie słowa mojej licealnej przyjaciółki pisarki, poetki Aleksandry Petruszewicz: „Nie jest wyrobnikiem. To rzeźbiarz wyobraźni zmienianej w miliardy pomniczków, którymi są toczzone piórem słowa”.

I ostatni mail przesłany już z domu: „Dziś sprawdziłam – fiołki jeszcze chowają się przed chłodem, o konwaliach nie wspominając, zatem mam nadzieję, że zdążę ozdrowieć i pojawić się u Pani drzwi w stosownym momencie”.

Pogrzeb odbył się 18 kwietnia 2017 roku na cmentarzu w Zaniemyślu. Nadal w uszach dzwięczy mi przeraźliwy odgłos, który wydawały białe, którymi rytmicznie uderzali jedna o drugą przyjaciele pana Andrzeja.

*Kwiecień 2018 roku,
w pierwszą rocznicę śmierci*

Barbara SIWIŃSKA

Pięćdziesiąt lat później

W tym artykule chciałbym zająć się tematem całkowicie odmiennym od tych, którymi zajmowałem się dotychczas. Chcę poświęcić go pierwszemu w Śremie zespołowi big-bitowemu. W latach sześćdziesiątych XX wieku w Europie Zachodniej pojawił się nowy nurt muzyki nazywany „mocnym uderzeniem” (big-bit). Również w Polsce ta muzyka zdobyła olbrzymią popularność. Kto z dzisiejszych 60- i 70-latków nie pamięta takich zespołów jak: Czerwono-Czarni, Niebiesko-Czarni, Czerwone Gitary, Skaldowie. Za ich przykładem zaczęły powstawać w każdej większej miejscowości zespoły big-bitowe. Ktoś może zapytać skąd u mnie zainteresowanie taką tematyką. Odpowiedź jest prosta, jest to muzyka mojego pokolenia, jak większość nastolatków w tamtym czasie byłem zafascynowany tą muzyką, miałem swoich idoli, których namiętnie słuchałem. Moim ulubionym zespołem byli Skaldowie i tej „miłości” pozostałem wierny do dzisiaj.

Doskonale pamiętam jak moi koledzy z Liceum Pedagogicznego w Krotoszynie zakładali taki zespół, pamiętam trudności jakie musieli pokonać, żeby móc muzykować. Dlatego, gdy dowiedziałem się, że Andrzej Jasiczak – jeden z uczestników spacerów historycznych po Śremie, był muzykiem pierwszej big-bitowej kapeli w Śremie, postanowiłem zająć się tym tematem. Tym zespołem była grupa pod nazwą Złote Struny, która działała w połowie lat sześćdziesiątych. W tym miejscu chciałbym wyjaśnić tytuł artykułu *Pięćdziesiąt lat później*. Nie zamierzam zajmować się opisem działalności i historią zespołu, bo zamieszczone są w książce *Życie Muzyczne w Śremie* (1880-2012). Wymienionych jest tam pięciu muzyków i trzy osoby współtworzące zespół. Pięć z tych osób znam osobiście, dlatego

postanowiłem z nimi porozmawiać: jak widzą zespół z dzisiejszej perspektywy, co robią dzisiaj i co robili przez te minione pięćdziesiąt lat.

W skład formacji Złote Struny wchodził: Grzegorz (Gigol) Jankowiak – gitara basowa, Andrzej (Puma) Nowicki – gitara rockowa i śpiew, Andrzej (Karol) Jasiczak – gitara akordowa, Eugeniusz (Ferol) Ferster – perkusja. Tego ostatniego zastąpił później Grzegorz (Bisiu) Bittner. Obsługą techniczną i akustyką zajmowali się Tadeusz (Glaber) Adamski, Ryszard (Wasielka) Wasielewski. Managerem zespołu był Adam (Ticzer) Podsiadły.

Czterech z nich udało mi się zaprosić pewnego popołudnia na kawę do „Cafe Ole”. Na spotkanie przybyli: Adam Podsiadły, Ryszard Wasielewski, Grzegorz Jankowiak i Andrzej Jasiczak. Andrzej Nowicki nie żyje, Eugeniusz Ferster nie mógł przybyć z przyczyn od niego niezależnych – przekazał serdeczne pozdrowienia dla kolegów, Grzegorz Bittner aktualnie przebywa za granicą, Tadeusz Adamski mieszka na Śląsku, żaden z uczestników spotkania nie ma z nim kontaktu. Wszystkim panom zadałem jedno pytanie: Jak pamiętają wydarzenia sprzed pięćdziesięciu lat? Byłem zaskoczony tym, jak doskonale pamiętają tamte czasy, różnili się w szczegółach, spierali się, było widać emocje, myślę, że na moment wrócili do lat młodości. Wszyscy wspominali, że byli grupą kolegów z liceum i technikum ekonomicznego, których połączyły wspólne zainteresowania fascynującą muzyką.

Lata 60. to częściowe otwarcie się na tzw. Zachód. To wtedy nowe nurty muzyki zaczęły docierać do Polski. Nagle okazało się, że to co funkcjonuje na Zachodzie jest również dostępne u nas. To wszystko młodzi ludzie czerpali z Radia Luxemburg, z płyt przywożonych z zagranicy.

Ich właściciele byli najważniejszymi osobami na prywatkach. Dzisiaj nie do pomyślenia jest, że młodzież bawi się przy muzyce z tej samej płyty długogrającej. Wielką rolę w krzewieniu polskiego big-bitu odegrała coraz bardziej dostępna telewizja. Wtedy właśnie grupa kolegów postanowiła nie tylko słuchać tej muzyki, ale również ją grać. Nie wszyscy mieli przygotowanie muzyczne, ale bardzo chcieli i to było najważniejsze. Wszystkie piętrzące się przed nimi przeszkody sukcesywnie pokonywali. Każdy marzył o profesjonalnym sprzęcie, ale gitary – deski były bardzo drogie, dlatego wykonywano podróbki znanych marek. Mistrz stolarski Mieczysław Ciesiółka wycinał właściwe kształty i mocował gryfy, a w Poznaniu w zakładzie lutniczym pana Niewczyka nabijano progi. Resztę prac wykonywali sami muzycy. Perkusję i mikrofony wypożyczano od zespołu Kometa. Wzmacniacze i całe wyposażenie to domena panów Adamskiego i Wasielewskiego-

Złote Struny, 1964 r. Od prawej siedzą: A. Jasiczak, A. Nowicki, stoją E. Ferster, G. Jankowiak.
Fot. arch. A. Jasiczak



go: przygotowywane były w sposób amatorski, np. kolumny były wykonane z głośników pożyłskanych z poczty, a jako wzmacniacz służyło domowe radio. Początkowo zespół ćwiczył w mieszkaniu Andrzeja Jasiczaka, następnie w klubie Kometa przy ulicy Kilińskiego, a później Echo przy ulicy Parkowej.

Skąd wzięła się nazwa Złote Struny nie wiadomo, żaden z uczestników tego nie pamięta. Zespół miał własny emblemat zaprojektowany przez Eugeniusza Ferstera. Czy występowali w jednolitych kostiumach – nie pamiętają. Grali przede wszystkim kompozycje Beatelsów, Czerwonych Gitar, Niebiesko-Czarnych oraz zespołu gitarowego The Shadows – szczególnym miłośnikiem ich muzyki był Andrzej Jasiczak. Sprawami organizacyjnymi zajmował się Adam Podsiadły, to on organizował imprezy, zajmował się występami zespołu. Tak naprawdę wszystkie sprawy nie związane z muzyką i techniką należały do niego. Szefem technicznym był Tadeusz Adamski, który dokonywał cudów, żeby sprzęt zespołu był sprawny. Pomagał mu w tym Ryszard Wasielewski, który zajmował się również sprawami porządkowymi w czasie koncertów. Momentem przełomowym istnienia zespołu był koncert w kinie Klubowe. Występowali w jednej z najważniejszych sal w mieście, która wypełniona była do ostatniego miejsca, nie wszyscy chętni mogli kupić bilety. To wydarzenie muzyczne świadczy o popularności zespołu.

Zespół Złote Struny istniał około półtora roku, ale zapisał się w historii śremskiego rynku muzycznego. Poza koncertami organizowano regularnie rockandrollowe wieczorki taneczne w klubie Echo połączone z programem satyrycznym i konkursami. W pewnym momencie muzycy Złotych Strun zdecydowali o czasowym zawieszeniu działalności, jednak do jej wznowienia nigdy nie doszło. Przyczyny były prozaiczne – po maturze studia, praca, służba wojskowa, to wszystko zdecydowało, że górę wzięła proza życia...

Pozwolę sobie teraz przedstawić krótkie notatki dotyczące bohaterów tamtych lat.

Adam Podsiadły (Ticzer) po ukończeniu liceum wyjechał na studia do Poznania. Ukończył historię na UAM i podyplomowe studia z dziennikarstwa i zabytkoznawstwa. Historyk, dziennikarz, wykładowca akademicki. Pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji m.in. był zastępcą dyrektora

Zespołu Szkół Zawodowych, dyrektorem Muzeum Śremskiego, prezesem Towarzystwa Miłośników Śremu, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Jest autorem książek regionalno-historycznych, redagował *Słownik biograficzny Śremu*. Zajmuje się biografistyką i pisanem recenzji wydawniczych. Jest wykładowcą w Wyższej Szkole Humanistycznej w Lesznie. Współpracował z TVP Poznań i Radiem Merkury. Obecnie na czynnej emeryturze, ma trzech dorosłych wnuków. Kibic żużla. Mieszka w Osiecznej, cały czas uczestniczy w życiu kulturalnym i naukowym Śremu.

Ryszard Wasielewski po ukończeniu szkoły związany z zakładami pracy w Śremie. Pracował w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego, następnie w Spółdzielni Pracy „Malta”. Przez cały czas istnienia klubu „Maciuś” ściśle z nim współpracował. Interesuje go Śrem, jego historia, czynnie uczestniczy w życiu kulturalnym miasta. Jest emerytem, lubi zajmować się wnukami.

Tadeusz Adamski. Uczestnicy spotkania nie mają z nim kontaktu. Wiadomo, że wyjechał na Śląsk i tam mieszka.

Andrzej Jasiczak (Karol), po skończeniu Technikum Ekonomicznego pracował w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego, w międzyczasie odbył zawodową służbę wojskową, gdzie wykorzystywał swoje talenty muzyczne, grając w zespole. Po powrocie z wojska kontynuował pracę w Przedsiębiorstwie, aż do jego likwidacji. Następnie, aż do przejścia na emeryturę, pracował w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Na emeryturze aktywnie działa w Klubie Emerytów, bierze udział w wycieczkach i imprezach kulturalnych. Jest stałym uczestnikiem Uniwersytetu Ludzi Ciekawych Świata. Szczęśliwy dziadek. Do dzisiaj jest miłośnikiem muzyki The Shadows.

Grzegorz Jankowiak (Gigol) po maturze podjął studia na Politechnice Wrocławskiej, które przerwał. Ukończył szkoły pomaturalne, kierunki budowa dróg i mostów, budownictwo. W 1973 roku wzbudził w Śremie sensację, gdy jako kibic pojechał na kultowy mecz Polska-Anglia i nielegalnie pozostał w Anglii. W następnych latach przebywał w Anglii, Francji, Niemczech. W Niemczech powtórnie zdał maturę, następnie podjął studia lekarskie – specjalizacja stomatologia. Po ich ukończeniu pracował w szpitalu, był asystentem na uczelni. Od połowy lat osiemdziesią-

tych prowadzi w Hamburgu, gdzie aktualnie mieszka, własną Klinikę Stomatologiczną. Cały czas czynny zawodowo. Szczęśliwy ojciec – siedmioro dzieci, czworo mieszka wraz z nim i żoną. Dzieci podchwyciły bakcyła muzycznego – interesują się muzyką, chętnie muzykują. Pan Grzegorz nadal chętnie sięga po gitarę. Całą rodziną interesują się wydarzeniami muzycznymi i chętnie biorą udział w koncertach. Interesuje się poezją, pisze wiersze. Wydał tomik poezji pt. *Zupełny odpust*. Często odwiedza rodzinne miasto.

Eugeniusz Ferster. Mimo że występował w zespole, to rock and roll nie był jego muzyką. Prawdziwą miłością był i jest jazz, o tej swojej pasji napisał we wspaniałych artykułach *Żywot synkopowany* w trzech numerach „Gazety Śremskiej” z 2005 roku. Uważam, że każdy kto interesuje się życiem muzycznym i kulturalnym powinien je przeczytać. Przez wiele lat pracował jako plastyk w Odlewni Żeliwa. Współpracował z Muzeum Śremskim i „Gazetą Śremską”. Znany jest ze wspaniałych karykatur, nadal udziela się w życiu kulturalnym miasta. Jest emerytem.

Andrzej Nowicki (Puma) przez wiele lat prowadził sklep odzieżowy Pod Żółtą Kulą na Placu 20 Października, następnie popularną kawiarnię Pod Papugami, na ulicy Farnej. Zmarł w 2003 roku.

Grzegorz Bittner (Bisiu). Mieszka w Śremie. Nie udało mi się z nim skontaktować, gdyż czasowo przebywa w Niemczech.

Jaki wpływ muzyka zespołu miała na ówczesną młodzież trudno powiedzieć. Jedno jest pewne, że powstanie i funkcjonowanie zespołu było dla nich bardzo ważne. Słuchając wspomnień członków zespołu, miałem wrażenie, że nadal mam do czynienia z młodymi chłopakami sprzed 50 lat. Puentą tego spotkania niech będą słowa Grzegorza Jankowiaka (Gigola): „Fenomenem tamtych czasów było, że to co działo się w dalekim świecie, działo się równocześnie w takim mieście jakim był Śrem”. A uzupełnieniem tej puenty niech będą słowa Andrzeja Nowickiego (Pumy) wypowiedziane kiedyś do żony Grzegorza Jankowiaka: „To była wspaniała zabawa”.

Dzięki temu spotkaniu powróciłem pamięcią do lat młodości i muszę przyznać, że był to bardzo miły powrót. Dziękuję za to kolegom i mam nadzieję, że ich odczucia są podobne do moich.

Zdzisław ŻELEŹNY

„MACIUŚ”

Historia sentymentalna

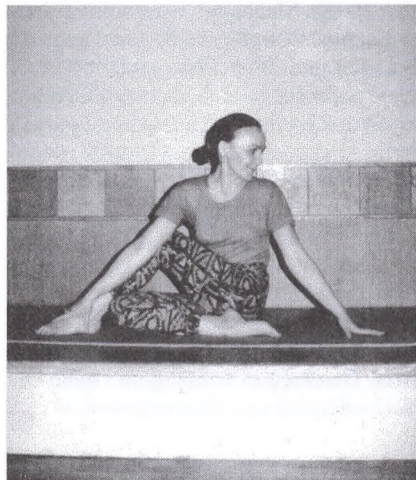
cz.3

Wspominając działalność Klubu „Maciuś” zaskoczyła mnie oferta sportowo-rekreacyjna. Działañ zgromadziło się na tyle dużo, że postanowiłam je opisać w oddzielnym artykule. Szczególne dla sportu w „Maćku” były lata osiemdziesiąte, zwłaszcza rok 1984. Rozpocznę od Klubu Sympatyków KKS „LECH”, który działał niedługo, ale z takim rozmachem, że bywalcy zapewne go pamiętają. Moją pamięć wspomagają zdjęcia; na jednym z nich zapisałam datę powstania Klubu: 24 luty 1984 roku. Założycielem i motorem był Romek Jarych – niepozorny, szczupłutki chłopak z wyrazistym wusem i ogromną pasją – piłką nożną. Tak Go zapamiętałam i mam nadzieję, że mi wybaczy naszkicowany portret. Nie pamiętam momentu, w którym się pojawił, ale jak tylko się pojawił skupił wokół siebie nie tylko zdeklarowanych kibiców poznańskiego Lecha, ale również zwykłych sym-

patyków piłki nożnej. Wkrótce Klub zrzeszał blisko 250 członków. Obowiązkowo jeździli na wszystkie mecze Lecha, ale również zapraszali do „Maciusia” działacze i dziennikarze sportowych, trenerów, olimpijczyków, piłkarzy. Pamiętam pożegnanie kultowego trenera Lecha Wojciecha Łazarka w grudniu 1984 roku. Był tort, były łzy, podziękowania, śpiewy i życzenia. Odbyły się również spotkania z Górskim, Mrocoszkim, Antkowiakiem, Szerszenowiczem, Jagodzińskim, które gromadziły tłumy kibiców – Klub pękał w szwach.

Spektakularną imprezą organizowaną przez Klub były Mistrzostwa Polski Klubów Kibica w Halowej Piłce Nożnej. Pierwsze odbyły się w styczniu 1987 roku i chyba jeszcze 3 edycje udało się zorganizować wspólnie z ŚOSiR-em. Mistrzostwa organizowane były z dużym rozmachem, prowa-

Zajęcia jogi, 1994 r. Z prawej: zajęcia callanetics





Sekcja brydża sportowego, lata 70.

dzione przez sędziów klasy międzynarodowej, z udziałem dziennikarzy i działaczy sportowych. Były świetnym sportowym widowiskiem i przyciągały oraz integrowały kibiców piłkarskich z całej Polski.

W tym samym 1984 roku rozpoczęła się w „Maciusiu” przygoda z jogą. Wspomniałam poprzednio, że „sprawcą” był brat Marek, który szukał dla naszej grupy, zafascynowanej kursem radiestezji, skutecznej szkoły koncentracji. I znalazł JOGĘ INDYJSKĄ. A mnie pozostało poszukiwanie guru. Znalazłam Szymona Dudę, który zgodził się poprowadzić nas po niezwykłym świecie indyjskiej filozofii. Początki były chwilami szokujące, zwłaszcza spotkania z „joginami” i ich opowieści o wędrówkach w innych przestrzeniach, lewitacjach i innych niezwykłych mocach. Byliśmy przejęci i bardzo zaangażowani. Przez pierwsze pół roku rozwieszaliśmy przed spotkaniami białe płótna na ścianach, aby ograniczyć bodźce i ułatwić koncentrację. Medytacje, asany, mantry i bezwzględna dyscyplinę jogi indyjskiej, przetrwało nas kilkunastu z 50-osobo-

wej grupy. Ta nieliczna grupa zgłębiała tajniki jogi podczas cotygodniowych spotkań przez kolejne 10 lat – do końca istnienia „Maciusia”. Spotkanie z jogą zostało w nas na zawsze i każdego z nas zmieniło; chyba na lepsze.

Rok wcześniej – w 1983 roku – zaczęłam w „Maciusiu” prowadzić ćwiczenia wyszczuplające. Ukończenie kursów z zakresu gimnastyki jazzowej i aerobicku, a następnie callaneticsu i stretchingu dało mi możliwość łączenia różnych technik. Katowałam uczestniczki i siebie monotonną powtarzalnością ruchów w modnej w latach 80. technice callaneticsu. Najważniejsze były efekty, więc rzeźbiłyśmy nasze sylwetki wytrwale przez 23 lata (po likwidacji „Maćka” w Ośrodku Kultury). Wykorzystywałam również techniki poznawane na zajęciach jogi zwłaszcza hatha jogi i techniki relaksacyjne. Te wieczorne ćwiczenia 2 razy w tygodniu miały swój klimat i kiedy w 2007 roku przestałam je prowadzić, czegoś mi zabrakło i dziewczynom chyba też bo dzwoniły i zachęcały by je wznowić.



Klub Kibica KKS Lech

W roku 1987 udało się zakupić kilka wiatrówek, bilard grzybkowy i stół do tenisa. Nowy sprzęt uatrakcyjnił klubową ofertę. Powstał klub strzelecki dla uczniów starszych klas szkół podstawowych. Zajęcia odbywały się raz w tygodniu, prowadził mój mąż, który wykorzystywał każdą okazję do organizacji zawodów strzeleckich; także dla dorosłych. Podobnie wykorzystywany był stół do tenisa i bilard. Gra w tenisa stołowego i bilard na stałe zagościły w czytelnicy i przez długi czas cieszyły się popularnością, przyciągając do „Maciusia” młodych ludzi.

Na koniec chcę wspomnieć Sekcję Brydża Sportowego. Tworzyli ją głównie oficerowie miejscowej jednostki i pracownicy odlewni. Jej powstanie kojarzę z pojawieniem się w Klubie Mariana Borowskiego, świetnego brydżysty, jak się później dowiedziałam, byłego członka młodzieżowej kadry Polski. Obecność Sekcji w „Maćku” umożliwiła organizowanie dla młodzieży nauki gry w brydża, którą prowadził Zbyszek Kujawski. Sekcja była zgłoszona do Federacji, rozgrywała ligowe pojedynki i szybko

pięła się w górę w tabeli rozgrywek. Kiedy była blisko przejścia do wyższej ligi pamiętam, że zamiast z dumą dopingować swoją drużynę czekałam na porażkę wiedząc, że nie stać „Maćka” na finansowanie kosztów rozgrywek w wyższej grupie. Te same kłopoty finansowe spowodowały z czasem przeniesienie sekcji do ŚOSiR-u. Słyszałam ostatnio, że „moi” brydżyści nadal regularnie się spotykają i rozgrywają mecze.

Kończę swoje wspomnienia o Spółdzielczym Ośrodku Kultury „Maciuś”, który był moim dzieckiem, bo tworzyłam go przez 25 lat w jego 26-letniej historii. Przyjaciele uważają, że jak mówię o Klubie to „topnieję”. Bo to cała moja młodość. Bo pozwolił mi spotkać i pokazać śremianom ludzi z pasją, wspaniałych artystów, niezwykle miejsca, ciekawe tematy. Bo nas wzruszał, uczył, bawił i smucił gdy przyszło go likwidować.

Cieszę się, że mogłam przypomnieć Klub „Maciuś” i podzielić się z czytelnikami „Gazety Śremskiej” swoimi wspomnieniami. Czy udało



Pożegnanie trenera W. Łazarka, 15.12.1984

mi się przywołać czyjeś wspomnienia, dopisać brakujące wątki i swoje chwile w „Maciusiu”? Może ktoś wspomina pobyt na półkoloniach, może słynne „osiemnastki”, a może stres stawienia się na komisję poborową?

Wspominanie „Maciusia” pozwoliło mi zobaczyć całość działalności i zobaczyłam tak wiele, z tak różnych dziedzin i z tak „dobrej półki”, że poczułam się dumna. Zdzisław Żeleźny w artykule pt.: „Coś przeminęło, coś zostało” („Gazeta Śremska” nr 1-2/2018) zapisał: *Chyba nie ma starszego śremsianina, który by o „Maciusiu” nie*

słyszał. Był dla wielu z nich miejscem kultowym. W latach 70. był jedyną otwartą placówką kulturalną o charakterze klubowym i spełniał bardzo ważną rolę kulturotwórczą i wychowawczą w środowisku.

Swoje wspomnienia podbijam zachowanymi pieczętkami.

Gabriela WASIELEWSKA
Kierownik Klubu „Maciuś” w latach 1969-1994
Foto: archiwum autorki

Spółdzielczy Ośrodek Kultury
„MACIUSZ”
ul. Ks. J. Popiełuszki 6 – tel. 308-24
63-100 Śrem

Kierownik Ośrodka
Gabriela Wasielewska
Gabriela Wasielewska

Wańscy.

Opowieść o rodzinie. Uzupełnienie

Powstania kolejnej części nie przewidywałam i nie sądziłam, że ją napiszę. Starałam się zmieścić historię rodzinną w dwóch odcinkach i na tym miało się zakończyć. Ale życie przynosi niespodzianki, a historia rodzinna, jak się okazuje, łączy ludzi. A gdy się jej poświęca uwagę – rozwija się i potrafi nieco wyjaśnić, budując jak dokładane puzzle coraz wyraźniejszy obraz.

Gdy w nr 9/10 i 11/12 „Gazety Śremskiej” ukazały się wspomnienia o rodzinie Wańskich, wysłałam oba numery do Wrocławia do Cioci Jadzi (Jadwiga Bugorska z domu Wańska) – była przecież właściwie współautorką. Ucieszyła się i wróciła do przeglądania swojego archiwum rodzinnego; znalazła jeszcze inne zdjęcia, m.in. sklepu czy bawiących się na podwórku dzieci. Niestety większość jest małego formatu i w kiepskim stanie. Uporządkowała też listy – od matki, sióstr, od nas. Bardzo ciekawa lektura po latach! Napisałam też do pozostałych krewnych. Średnia i młoda generacja – kuzynostwo z Poznania i Krakowa oraz ich dzieci – dostali zeskanowane wspomnienia. Najmłodsi – w większości grzech-

Jadwiga i Stanisław Wańscy z dziećmi: za matką Janka, przy ojcu Marian, w środku trzymana przez matkę malutka Basia, ok. 1925 r.



nie podziękowali i wrócili do teraźniejszości. Ale prawnuczka dziadka Wańskiego, Magdalena, mieszkająca w Krakowie, sprawiła mi niespodziankę i co tu ukrywać – wzruszyliśmy się wszyscy.

Magda jest wnuczką Janki Kosieradzkiej z domu Wańskiej, córki Stanisława Wańskiego i Jadwigi (pierwszej żony). Nie mieliśmy wyraźnych, portretowych zdjęć Jadwigi, jedynie jakieś zbiorowe, często robione z dużej odległości. Można się było bardziej domyślać wyglądu osoby niż ją wyraźnie zobaczyć. Magda wśród zdjęć rodzinnych też nie miała lepszych fotografii. Jednak zainspirowana wspomnieniami zaczęła szukać w Internecie i po jakimś czasie pod hasłami o sklepach kolonialnych z Wielkopolski... znalazła swojego pradziadka i prababcie na pięknym zdjęciu wraz z trójką dzieci (Marian, Barbara i Janka). Pisz, że oprócz wzruszenia, przeżyli z mężem prawdziwy szok: ich syn, niepodobny do nikogo z najbliższej rodziny, jest za to bardzo, ale to bardzo podobny do swojej praprababci, która:

„[...] przekazała najwyraźniej geny naszemu Szymonowi! Spojrzenie, mała szczeka, wąskie usta i najpewniej wada zgryzu (nad którą wciąż dywagujemy... po kim on ją ma)! Niesłychane!” (fragment e-maila Magdy).

Chłopiec jest rzeczywiście niewiarygodnie podobny. Aż nie chce się wierzyć, że po tylu latach „mieszania genów” taki wyraźny ślad przynależności rodzinnej!

Tymczasem w Poznaniu w domowym archiwum też trwały poszukiwania i znalazły się spisane ręcznie w 1984 roku wspomnienia Mariana Wańskiego, najstarszego syna Stanisława i Ja-

dwigi oraz kilka zdjęć. Syn Mariana, Jędrzej, przepisał wspomnienie ojca na komputerze i nam przesłał. Pojawiły się więc nieznane dotychczas fakty z życia rodziny oraz inny punkt widzenia – najstarsze dziecko w rodzinie widzi więcej i jednak z innej perspektywy niż najmłodsze siostry (różnica 9 i 10 lat). Z Marianem też – szczególnie w czasie wojny – ojciec inaczej rozmawiał niż z małymi dziewczynkami. 1939 rok przerwał chłopakowi naukę w liceum w Śremie, a wojna i wysiedlenie, to niestety przyspieszony kurs dorastania.

Pełne ciepła są wspomnienia Mariana o matce Jadwidze – jej miłości i oddaniu dzieciom i domowi. Pisze m.in.: „Matka była kobietą łagodną, dobrą i pobożną i często udzielała dobrych rad, kiedy sprzedawała w sklepie (być może z racji swojego zawodu). Zawsze pilnowała z trudem zdobytego majątku, nie wypuszczała z rąk kluczy, wstawała rano, mówiła wspólny pacierz z kucharką Kasią Springacz i opiekunką dzieci Celiną”.

Prawie filmowa okazuje się historia znajomości Stanisława i Jadwigi. Ona była pielęgniarką w szpitalu wojskowym i właśnie tu się poznali, gdy Stanisław w 1917 roku został ranny. Jak dalej pisze Marian: „[...] Ojciec kochał ją strasznie i jak później opowiadał, nie pozwolił jej wyjechać do Włoch, do brata. Opowiadał, iż Mama siedziała już w pociągu i Tata wbiegł na peron z pistoletem i zagroził, że jak nie wysiądzie, zabije ją i siebie”. Wysiadła. Ślub odbył się w 1920 roku. Panna młoda ma 28 lat. W takim samym wieku na ślubnym kobiercu staje potem (w 1929 roku) druga żona Stanisława, Stefania. Obie nie wychodzą za mąż młodo. Ale też obie pracują, mają zawód, są niezależne. Może inaczej trzeba spojrzeć na stereotypowe opinie, że kiedyś dziewczęta wcześniej wychodziły za mąż. Okazuje się, że te wykształcone i samodzielne – nie zawsze.

W czasie Powstania Wielkopolskiego Stanisław walczył, a Jadwiga jako siostra Czerwonego Krzyża opatrywała rannych. Stanisław opowiadał synowi, że sam Ignacy Paderewski udekorował ją medalem za odwagę. Niestety, w szpitalu zaraziła się gruźlicą. Już będąc mężatką i matką wyjeżdżała do Zakopanego do sanatorium, ale



Jadwiga jako pielęgniarka w lazarecie

choroba była silniejsza. Tak zapamiętał Marian jej ostatnie chwile: „Mama zmarła 17 maja 1929 roku na tę nieuleczalną wtedy chorobę, o ile pamiętam to była sobota. Jeszcze w przeddzień poczuła się lepiej i prosiła, aby pokazać jej dzieci. Miała przy łóżku obrazek św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Obrazek ten od tej chwili mam stale przy sobie i wierzę, że dzięki niemu przeżyłem wojnę i doczekałem starości”.

W czasie wojny w Krakowie Marian pracował m.in. jako garderobiany, pomocnik zaopatrzeniowca, a w końcu jako księgowy w dziale reklamy i wydawnictwa dla gospodarki i rzemiosła. Dzięki tej pracy nie tylko zarabiał na życie, uniknął deportacji w głąb Niemiec, ale i mógł pomagać konspiratorom – miał dostęp do maszyny do pisania i do prasy niemieckiej. Tłumaczył artykuły i notki prasowe i rozpowszechniał wraz z siostrą Basią (zginęła w Krakowie).



Sklep pp. Wańskich na ul. Rzecznej, obecnie ul. Kościuszki. Z prawej: Jadwiga Wańska

W 1944 roku musiał wraz z wieloma innymi pracować przy budowie umocnień niemieckich – okopów – na przedpolach Krakowa.

W posiadaniu Jędrzeja Wańskiego, syna Marianna, jest Krzyż Powstańczy Dziadka Stanisława. Przesłał nam jego zdjęcie, a my z kolei przesłaliśmy je do pani Katarzyny Gwincińskiej, która w 100-lecie odzyskania niepodległości chce uporządkować sprawy Powstania Wielkopolskiego w naszym regionie.

Tak więc sprawa wspomnień rodzinnych, przeglądania zdjęć i różnych materiałów toczy się w kilku domach. Wśród wielu zdjęć w albumach

bardzo dużo – za dużo! – jest takich, które nic „nie mówią” nam patrzącym po latach. Mając teraz wyraźne zdjęcia Jadwigi, można przez porównanie próbować chociaż ją znaleźć i na innych jeszcze fotografiach.

Uparcie nasuwa mi się myśl, patrząc na nasze zdjęcia robione współcześnie, aby opisywać je dokładnie: kogo przedstawiają, gdzie są robione, kiedy. Teraz wydaje się to takie oczywiste, ale po latach, gdy obecni młodzi zwolnią (oby!) tempo życia i zechcą spojrzeć wstecz, będzie jak znalazł. Bo nasza pamięć może zawieść, a gdy nas zabraknie... po co historia z anonimowymi osobami na zdjęciach ma się powtarzać?

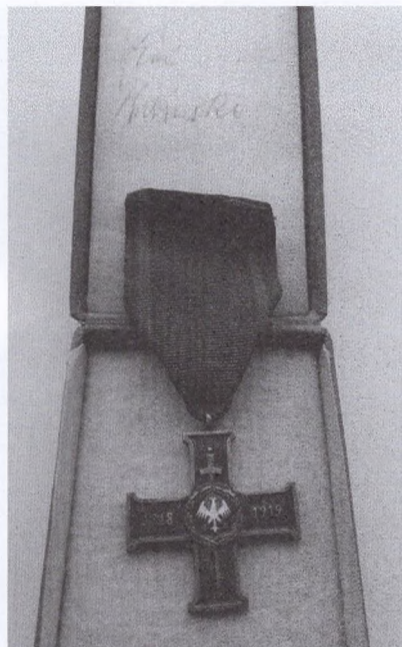


Sklep pp. Wańskich na ul. Rzecznej. Poniżej: Wielkopolski Krzyż Powstańczy Stanisława Wańskiego

Na zakończenie – co jeszcze miłego wynikło z zainteresowania historią rodzinną? Częściej dzwonią telefony i żywiej krążą maile. Zawsze też mówiło się niezobowiązująco, że „trzeba się spotkać całą rodziną”. I na tym się kończyło. Teraz te słowa nabrały chyba właściwej wagi i poważnie planujemy spotkanie rodzinne. Oby ten plan udało się zrealizować!

Ewa WAŃSKA

Foto: archiwum rodziny Wańskich



Jan od kultury

Mało kto nie zna lekko pochylonej sylwetki Jana Sipa, kiedy energicznym krokiem przemierza Jeziorany. Od lat z wieloma pomysłami. Zna uczestników imprez kulturalnych osobiście. Więc zatrzymuje się, opowiada, zachęca. To entuzjasta, żyje tym co robi i wiadomo, że na takich ludziach właśnie opiera się kultura. Bez nich nigdy by nie przetrwała. Zwłaszcza w okresach, kiedy musiała zadowalać się owym „wdowim groszem”. A czasem i tego brakowało. Ale wtedy takim osobom jak Jan nie brakowało pomysłów. Kiedy zaś można było się oprzeć na trwałej stabilnej placówce kulturalnej, były efekty.

Teraz zajmuje się muzyką i temu poświęca czas. Kiedy jednak przyjrzeć się jego udokumentowanemu kilkudziesięcioletniemu dorobkowi, to da się go wyraźnie podzielić na poszczególne etapy – fotografia, scena kameralna, Fanklub Teatru Polskiego, Śremskie Stowarzyszenie Przyjaciół Teatru, teraz znów Spółdzielnia Mieszkaniowa poprzez Klub Relax. Jest oczywiste, że jego zainteresowania nie zrodziły się nagle. Powoli lgnął do tej humanistycznej strony życia. Pamiętam wspomnienie jakie zachowała w pamięci Iwonka Kondras. Otóż odwiedzając krewnych często mijała młodzieńca o poważnej twarzy i pewnego

Jan Sip z aktorami Teatru im. W. Bogustawskiego w Kaliszu



dnia zauważyła, że niesie pod pachą album o teatrze polskim. Zaintrygowana zapytała go o to szczególne zainteresowanie i zachwyciła się tą jego pasją. Już działając w Śremskim Ośrodku Kultury mógł ją rozwinąć, poznać mechanizmy organizowania imprez kulturalnych, środowisk artystycznych.

Następny etap to Klub Relax Spółdzielni Mieszkaniowej. Rodzinna atmosfera, działanie wspólne na różnych polach. I to bardzo odważne, z wielką wyobraźnią. Wystarczy wspomnieć, że właśnie tutaj narodziła się śremska kablówka. To co Jan Sip uważa za bardzo ważne, nie tylko dla siebie, ale też i dla życia kulturalnego miasta, to Galeria Fotografii Klubu Relax zainicjowana przez Dariusza Żabińskiego. Datowana na lata 1989-1992. Co się wtedy zaczęło dziać... Wydarzenia goniły wydarzenia. Wystawy, wernisaże, spotkania z fotografikami. Bo dzięki współpracy z Janem Nowackim z Pałacu, Edward Knasiak – zawsze z nieodłącznym aparatem fotograficznym na szyi – i Jan Sip stworzyli żywy ośrodek zainteresowania fotografią i znani fotograficy nie tylko chętnie tu wystawiali swoje prace, ale brali udział w spotkaniach i warsztatach, seminariach. Było wia-

domo co jest aktualne w tej dziedzinie sztuki w kraju ale także na świecie. Galeria fotografii artystycznej ustawiła Klub Relax na jednym z czołowych miejsc w Polsce w kategorii placówek kulturalnych Spółdzielni Mieszkaniowych. Inicjatywa przetrwała do końca 1992 roku.

Trzeba pamiętać, że oprócz tego toczyła się praca Klubu Relax także na innych polach kultury. Ale pracujący tam entuzjaści byli zawsze wyczuleni na pojawiające się zainteresowania. Tak zrodził się pomysł utworzenia Sceny Kameralnej, której kierownikiem artystycznym został nie kto inny jak Jan Sip. Pod tą nazwą propagowanie teatru i kultury teatralnej miało miejsce w latach 1991-1999. A więc nie jakaś efemeryda ale stała działalność. Ukierunkowana głównie na dzieci i młodzież. Odbyły się tu dwa wielkie przeglądy teatrów dla dzieci i młodzieży. A na spotkanie autorskie udało się ściągnąć Krystynę Feldman. Były wyjazdy do teatru, przyjazdy spektakli do Śreму.

To jest jakaś niezgłębiona tajemnica Jana Sipa, jak potrafi on nawiązywać kontakty z placówkami teatralnymi, poszczególnymi artystami. Z czasem obrasta to coraz nowszymi propozycjami,

Jan Sip, Robert Czechowski i Hanna Grabowska oraz aktorzy Teatru z Zielonej Góry



inicjatywami. Z tego też zrodziła się następna – pod patronatem Starostwa Powiatowego – Fan Klub Teatru Polskiego w Poznaniu. Oczywiście z Janem Sipem jako kierownikiem. A więc znów spektakle, spotkania, warsztaty. I jakaś wręcz przyjaźń śremsko-poznańska oraz klimat, który stworzyła ówczesna dyrekcja Teatru Polskiego w osobie Waldemara Matuszewskiego. Po jego odejściu nie udało się już utrzymać tej współpracy. Ale w roku 2001 wykiełkowało Śremskie Stowarzyszenie Przyjaciół Teatru.

To fenomenalna inicjatywa Jana we współpracy z koleżankami, między innymi Anetką Schmidt. Do dziś działają Maria Klaczyk, Janina Kramer, Elżbieta Banaszak. Stowarzyszenie z kilkuno-stoletnim dorobkiem setkom śreńmian umożliwiło kontakt z teatrem. Szczególną rolę odegrał tu Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, w okresie kiedy dyrektorem był tam Robert Czechowski. Proszę sobie wyobrazić, że teatralny bufet przygotowywał się specjalnie na przyjazd śreńmian, pieczono ciasta, dbano, aby nie zabrakło filiżanek, łyżeczek, kawy i herbaty. Po spektaklu spotkania z aktorami, z zawsze obecnym dyrektorem. Można nawet mówić o jakiejś przyjaźni. Wielu uczestników tych wypraw do Kalisza

wspomina aktora Jerzego Górnego. Nawet walcząc z ciężką chorobą przychodził na spotkania z nami do teatralnej kawiarenki, przyjechał też do Śreńmu jakby na pożegnanie. Do dziś budzi nasze czułe wspomnienia.

Jan Sip i Stowarzyszenie mogą sobie zaliczyć sukces trwania i frekwencji, bo widzów do samego Kalisza było około dwóch tysięcy. Za co zresztą teatr uhonorował Jana specjalnym dyplomem. Jednak po odejściu Roberta Czechowskiego więzy stopniowo się rozluźniały. Przestała działać kawiarenka, zmieniał się repertuar. Wyjazdy do Kalisza stały się rzadkie, o co zresztą Jan miał stałe pretensje. No, ale zaczął się znów Poznań. Teatr Muzyczny, Nowy, Polski, Opera. Przede wszystkim jednak pojawiło się wiele spektakli w Śreńmie. Cały ciąg sztuk małoobsadowych w bardzo dobrym wykonaniu. Także recitale piosenek, koncerty. To ciągle trwa. Restauracja Relax pani Grażynki Dominiczak ma w tym całkiem niezwykle zasługi. Dzięki jej życzliwości odbywające się tu przedstawienia i koncerty są przy okazji spotkaniami towarzyskimi. Tu nie ma nic do kotleta. Ciastko i kawa, a potem cisza, chłonięcie tego artystycznego wydarzenia.

Jan Sip i Classic Quartet z Poznania



Jan Sip stworzył coś trwałego i oby jego koleżankom starczyło sił i zapału do kontynuacji. Organizacja utrzymuje się bowiem wyłącznie ze składek i opłat za imprezy, praca jest społeczna. Spółdzielnia Mieszkaniowa trwale wspomaga Stowarzyszenie, udzielając na dogodnych warunkach miejsca na biuro.

Ta instytucja poprzez Klub Relax niezmiennie stara się kreować działalność kulturalną dla mieszkańców. Nic więc dziwnego, że chce, aby w wyremontowanej sali widowiskowej odbywały się imprezy. Kiedy więc Jan Sip został poproszony o współpracę, już miał gotowy plan. Koncerty tematyczne, stopniowo przygotowujące do słuchania muzyki. Inauguracyjny odbył się w marcu, trochę po dniu kobiet. Ale wybór był bezbłędny. Zespół smyczkowy Classic Quartet z koncertem *Powróćmy jak za dawnych lat* zrobił furorę jeszcze przed występem. Jak mówili koledzy z Klubu Relax, który jest organizatorem wykonawczym, bilety sprzedały się w trzy dni, jeszcze zanim wywieszono plakat. Wypada tu wspomnieć, że sponsor – Starostwo Powiatowe – może być zadowolone z tego udanego przedsięwzięcia. Bilety były po 10 złotych, co zapewniło możliwość skorzystania z tej oferty wielu mieszkańcom.

Artystki z Filharmonii Poznańskiej, to nie tylko gwarancja perfekcyjnego wykonania, ale także ułożenia repertuaru w sposób dający okazję do ujrzenia twórczości poszczególnych kompozytorów w logicznym ciągu. Tak, aby uwypuklić rozwój danego gatunku muzyki czy estetyczne tendencje danej epoki. Pięknie o tym opowiada Izabella Gontarz. Jest tu więc i przeżycie artystyczne i możliwość zdobywania wiedzy. Ta inicjatywa ma być kontynuowana. Jan znów trafił w dziesiątkę. Choć ciężar organizacji to zarówno Spółdzielnia Mieszkaniowa, Klub Relax, Towarzystwo Pomocy Wzajemnej im. Brata Alberta „Nadzieja” i patronat medialny Telewizji Relax, „Tygodnika Śremskiego”.

Ktoś jednak musi być tym „spiritus movens”. A nie ma to jak „Jan od kultury”. I widać, że nie mury lecz ludzie tworzą klimat, w którym mogą się rozwijać zainteresowania i fascynacje.

Barbara NOWICKA

Członkowie FC. Teatru Polskiego w Poznaniu, aktorzy oraz dyrektor Teatru Waldemar Matuszewski



Wódz

Jestem, więc pytam

Potrzebujemy ludzi, którym możemy ufać, od których oczekujemy porady, pomocy. Potrzebujemy przewodników, nauczycieli, wzorów do naśladowania. Potrzebujemy autorytetów! Dajemy im kredyt zaufania, bo – uważamy, że są mądrzy, profesjonalni, bezstronni i prawdomówni, cieszą się społecznym uznaniem z powodu swej wiedzy bądź postawy moralnej. Pozwalamy (świadomie?) na to, że ktoś uznany za autorytet wpływa na nasze myślenie i postawy. Osoba, której jesteśmy skłonni ulegać z reguły ma cechy przywódcze, często obdarzona jest charyzmą. No właśnie – charyzma... Słyszymy, że ktoś jest charyzmatyczną postacią lub charyzmatycznym przywódcą. Wiemy dokładnie, co to znaczy, poza tym, że jest to człowiek sprawny w gromadzeniu zwolenników, zdolny wpływać na ludzkie zachowania i potrafiący wzbudzać entuzjazm?

Kto więc może być autorytetem, postacią charyzmatyczną? Zależy, jaką tu przyjmujemy definicję. Zagadnienie jest szerokie, obejmuje najróżniejsze dziedziny naszego bytowania. Mówił Leszek Kołakowski: „Ważne jest w tej sprawie odróżnienie autorytetu świeckiego, opartego na racjonalnych oczekiwaniach, od autorytetu sakralnego czy quasi-sakralnego, który takiej podstawy nie wymaga. Mechanik samochodowy jest dla mnie autorytetem, bo ma umiejętności i wiedzę, których ja nie mam, a ja oczekuję racjonalnie, że ich użyje. [...] Autorytet tradycyjny, jak rozumiem, to taki, co powstaje w sposób naturalny, bezrefleksyjny, jako coś osadzonego w obyczajach: autorytet starszego pokolenia dla dzieci, [...] autorytet, którym promieniuje osoba charyzmatyczna, jest innego rodzaju. Taki człowiek nie może być zastąpiony przez innego, ja zaś nie mogę ani nauczyć się,

ani skutecznie naśladować jego sprawności, jakkolwiek bym się wysilał. Poddaję się jego autorytetowi nie dlatego, bym był racjonalnie przekonany, że ma on słuszość, ale z racji szczególnej mocy jego osobowości. W jakimś sensie wierzę, że jest on nieomylny, chociaż niekoniecznie w takich słowach swoje wierzenie wypowiadam. Nim coś powie, wierzę z góry w prawdę tego, co chce oznajmić. W tym znaczeniu autorytet osobowości charyzmatycznej jest quasi-sakralny i nie ma racjonalnego umocowania”¹.

Ograniczmy się tu do zastanowienia nad fenomenem charyzmatycznego przywódcy politycznego; nad (rzadkim?) przeświadczeniem o nadrzędności i „świętości” wodza. Tacy liderzy pojawiają się, gdy ich moc spotka się z ludzkimi oczekiwaniami, gdy istnieje wśród ludzi poczucie niepewności i krzywdy (niekoniecznie obiektywnej...). Wódz in spe – jeśli umiejętnie żongluje faktami, wzmacnia emocje, wskazuje winnych i mówi, że podniesie ludzi (naród, państwo) – może uwieść znaczną część społeczeństwa, stworzyć nadzieję, że jest lek na ich nieszczęścia. Ludzie, którzy mu zawierzą mogą dać mu władzę w oczekiwaniu, że on ich „urządzi”. No i – mają wodza, a nawet „zbawcę”, pseudo-proroka...

Czy przywódca charyzmatyczny jest populistą? Może, ale nie zawsze jest. Polityk populistą nie stawia na realny interes społeczeństwa lub państwa, nie myśląc o przyszłości obiecuje wszystko, czego, jak sądzi, znacząca rzesza ludzi oczekuje. Wsłuchuje się w prostackie, nie zawsze rozumem podbudowane marzenia tzw. ludu i pokazuje, że się z nimi utożsamia. „Może, jeśli ma nieco zręczności, choćby chamstwem podszytej, zyskać liczące się poparcie, na ogół jednak mało ma

szans, by dzięki temu zdobyć sobie na długo władzę w demokratycznym ustroju, bo jego obietnice są puste. Nie staje się dzięki tym obietnicom przywódcą charyzmatycznym, bo nie ma umiejętności duchowego przeobrażania ludzi tak, by im otworzyć pewną wizję przyszłości – prawdziwą czy fałszywą, ale natchnioną wiarą, zdolną do wzniecania ofiarności i poświęcenia. Populizm i działanie charyzmy nie są tym samym”².

Obdarzony charyzmatem przywódca daje ludziom dobro czy zło? Znajdziemy przykłady tak na jedno, jak i na drugie. Są zarówno w historii, jak we współczesnym świecie. Charyzmatyczny przywódca, korzystając ze swego autorytetu może rozsiewać pokój, rozładować kryzys czy zapobiec dezintegracji społeczeństwa, może sprawnie kierować państwem. Ale też: może wydobywać z wyznawców to, co najgorsze w ludzkiej naturze – gotowość do okrucieństwa i przemocy, pychę, bezmyślność... Wódz może ukształtować swych wiernych tak, by znaczenie miały nie tyle fakty, co ich „należyta” interpretacja.

Czy w naszych czasach, w naszej cywilizacji potrzebujemy charyzmatycznych przywódców? Albo: czy należy się ich wystrzegać? Bo – czyż nie czuliśmy się bezpieczniej, mając polityków ludziom życzliwych, rozumnych, uczciwych, nienapęczniałych wściekłością, nie miotających pogroźek? Realne? Może to od nas jednak też zależy? Przecież przywódcy obserwują słupki poparcia. Ale póki lud, suwerenem także zwany, jest jaki jest?

Były zawsze i są nadal państwa autokratyczne, ustroje totalitarne, reżimy różnej maści. Są przywódcy rządzący autorytarnie, niektórzy chowają prawdziwą naturę rządów pod przykrywką swościę pojmowanej demokracji. Różne czasy, różne kraje, mechanizmy podobne. Liderem charyzmatycznym par excellence był Hitler. Jak inni dyktatorzy, oczarował znaczną część społeczeństwa, zdobył (demokratycznie) władzę i potem występował w obu rolach: charyzmatycznego przywódcy oraz okrutnego, brutalnego władcy. Przykład jeden z wielu, jakże pouczający... Jasne,



żaden przywódca (nawet dobro dający) nie jest uwielbiany przez wszystkich. To sprawia, że charyzmatyczny przywódca swoją pozycję może utracić. Wiedząc o tym, wybiera: albo – racjonalnie kalkulując, realizuje swoją długofalową wizję, nie oczekuje doraźnych efektów w postaci poklasku tłumu; albo – dzierżąc władzę dla niej samej, myśli „po mnie choćby potop” i tak manewruje, żeby lud zadowolony i władzy raz zdobytej nie oddać.

Jak to robi? Jeśli władza opiera się na autorytecie, a wódz nie lubi być ograniczany normami prawnymi, to potrzebuje wsparcia choćby wąskiej grupy ludzi – osobiście wybranych, wiernych, gotowych wykonać każdy rozkaz, uzasadnić poddanym każdą decyzję wodza. Funkcjonowanie takiego dworu doskonale pokazuje *Cesarz Ryszarda Kapuścińskiego* (książka z lektur szkolnych ostatnio „zniknięta”...).

Czy liderowi przeszkadza, że nie wszyscy go wielbią? Raczej przeciwnie, potrzebuje przecież wrogów, szkodników, „zdrajców” itp. Trzeba tylko zawczasu przygotować grunt, wykorzystać stare sprawdzone metody, jak choćby *divide et impera*. Głosząc jednocześnie dodawać, że dotyczy to tylko „dobrych” rodaków. Oni uznają przywódcę za charyzmatycznego; opierając to na irracjonalnych odczuciach i emocjach, dla których odniesieniem są jego wyjątkowe cechy, zdolności postrzegane na podobieństwo boskiego stygmatu. Czyż nie może to być drogą do narodzin jakiejś quasi-religii? Czy nie da się stwierdzić, że taka „religia” z zasady wyklucza innych? Tych, którzy nie wierzą. Oni są „gorsi” w oczach wierzących. Nawracać ich czy izolować? A może się na coś przydadzą? Tak – są świetnym uzasadnieniem jednoczenia wyznawców, dla których wspólny wróg jest doskonałym spoiwem. A dla przywódcy? Przeciwnicy są przydatni, gdy coś się nie udaje. Gdy wyznawcy czują się nieusatsfakcjonowani, łatwo objaśnić ich, kto jest winien.

Ta quasi-religia ma też swoich kapłanów. Oni mówią co słuszne, a co nie. Im się wierzy zawsze i we wszystko. Gdy ogłoszą, to symbole (nawet te z biblijnym rodowodem) zmienią znaczenie zgodnie z doraźnymi potrzebami; kolory zostaną wykłute, sprawdzi się czarno-biały obraz świata,

ba – nawet białe stanie się czarnym (nie mówmy, że to niemożliwe). Ważne, żeby wpoić to językiem prostym, stylem zero-jedynkowym i – podać do wierzenia jako nie wymagające dowodów dogmaty.

Taka religia też musi mieć swoje obrzędy i symbole. Lud domaga się widocznych znaków (zmagął się z tym już Mojżesz). Tradycją są pomniki mające świadczyć także o sile władzy. W światowej czołówce jest tu dynastia Kim (jej założyciel też od początku zadbał o odpowiednią edukację poddanych...), ale swoje pomniki miała również PZPR... Co jeszcze? Ano, wodzowi – zbawcy narodu przyda się historyczne umocowanie. Może wykreować pośmiertnie innego charyzmatycznego przywódcę i ogłosić się depozytariuszem jego „dziedzictwa”. (Tu Kołakowski przypomniał przypadek Che Guevary...).

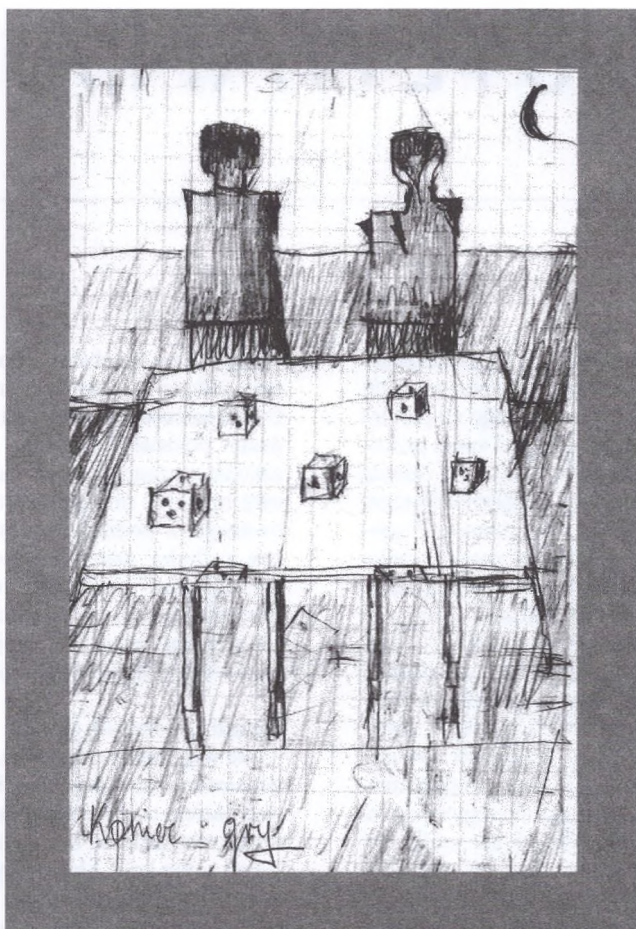
A dla ludu? Podtrzymywanie wiary w moc przywódcy. Dawanie: jeśli nie zawsze „chleba”, to obowiązkowo – „igrzysk”. I – co ważne (wzorem Słowianie wschodni), wzmacnianie poczucia dumy narodowej. Poza tym, oznajmianie, że jeśli jeszcze nie spełniłszy marzeń – to kroczymy w słusznym kierunku, marsz jest długi, ale zwycięstwo coraz bliżej. Czy to musi zawsze wystarczyć, by przywódca wodzem być nie przestał? Otóż nie musi. Każdy Ukochany Przywódca o tym wiedzieć powinien, a w kraju cywilizowanym wie z pewnością. I bać się może, bo... jak to było u Andersena z szatami króla? Zdarza się, że w efekcie następuje powrót do zwykłego, zinstytucjonalizowanego stylu kierowania społecznością.

Potrzebujemy takich autorytetów? Bo – „figura obdarzona charyzmatem, chociaż może w pewnych sytuacjach nieść ludziom dary pożądane, jest przecież zawsze zjawiskiem potencjalnie niebezpiecznym, bo zawsze ma siłę, by stać się nasieniem fanatyzmu. Bezpieczniej jest tedy bez takich figur dawać sobie radę”³.

Leszek MAŃKOWSKI

Foto: Autor

^{1, 2, 3} L. Kołakowski. „Charyzmatyczny przywódca, charyzmatyczny nauczyciel”. Autoryzowany tekst wykładu w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego. 9 maja 2006 r.



Przy-jaż nie zna prośby,
 ma strzaskany obiektyw - i nawet nie wiesz, że jest
 ... znajomość z nogą w drzwiach - na chwilę.
 Na taką sobie wieczność.
 Czasem tylko staliśmy pod niebem udając siebie.
 Milcząc o spacerach po życiu z ludźmi,
 znającymi podobno kolor Twojej duszy.
 PS. Nawet nie byłeś deptakiem słodkości.

Jurkowi, z resztą w pamięci
 Grzegorz Jankowiak

TRANSYLWANIA

Profesor Rac znów nie uratował pacjenta. Zmęczony usiadł w fotelu i z przygnębieniem spojrzął przez okno zakładu psychiatrycznego na ponure miasto. Mimo porażek, od jakiegoś czasu przedkładał rzeczywistość szpitalną nad blaski i cienie „zdrowego” świata. Niestety, wyłącznie dlatego, że zostały tylko cienie. Dwa lata temu nad sporniewieraną w wyniku ekonomicznego krachu ludzkością zapanowali różnej maści zbrodniarze i szaleńcy. Rozprzestrzeniła się mafia, haracze stały się bardziej dotkliwe niż podatki w UE, której krach z satysfakcją przyjęto na co najmniej czterech kontynentach. Oliwy do ognia dołączył papież, publikując katastrofalną w skutkach encyklikę *O nieobecności Boga w naszym świecie*. Następca Piotra, mianujący się wizjonerem, ogłosił wszem i wobec, że Bóg z naszego świata w jakiś sposób... odszedł. „Papież nie może być ateistą” – zeznał później na procesie zamachowca... Tak – pomyślał profesor Rac – wtedy ostatecznie ludzie stali się źli, wyrosły im szpony, a świat przykryła ciemność.

Wstał z fotela, zrobił parę kroków wzdłuż okna. Z zadumy wyrwał go głos pielęgniarki:

- Profesorze, jest pan proszony do dyrektora.
- Dyrektorze, nie chcę!
- Ktoś musi tam jechać! Dostaniesz ochronę.

O ponurości Transylwanii nie trzeba nikogo przekonywać. Ziemia Drakuli budziła grozę nawet w pierwszej dekadzie XXI w., gdy wesołym światem rządziły: Hollywood i internet. Rac nie przyjął z entuzjazmem decyzji zwierzchnika, ale musiał się z nią pogodzić. Został oddelegowany na sympozjum poświęcone schizofrenii, odbywające się gdzieś na Wyżynie Siedmiogrodzkiej. Podobno profesor Conescu osiągnął świetne rezultaty terapii.

– Zapraszam na obchód. Zobaczmy najcięższe przypadki schizofrenii, a na końcu coś specjalnego. Dwudziestoosobowa grupa naukowców zwiedzała poszczególne sale niczym wycieczka szkolna muzeum. Kolejni pacjenci czekali na wizytę na coraz niższych piętrach szpitala usytuowanego w podziemiach starego zamku. Kogo tam nie było? Armia Jezusów, oddziały Presleyów i Stalinów – wymieniać można by długo. Wreszcie zeszli na najniższe piętro. Korytarze stawały się coraz ciemniejsze, wyraźnie było czuć wilgoć i jeszcze jakiś nieokreślony zapach.

Dotarli do ostatnich drzwi.

– Nie wejdziemy do środka, byłoby to zbyt niebezpieczne. Moi alchemicy i magowie przygotowali bariery ochronne, pacjent jest ogłuszony, ale mimo wszystko nie warto ryzykować.

– Pan sobie kpi? Alchemicy? – krzyknął któryś z zaproszonych profesorów.

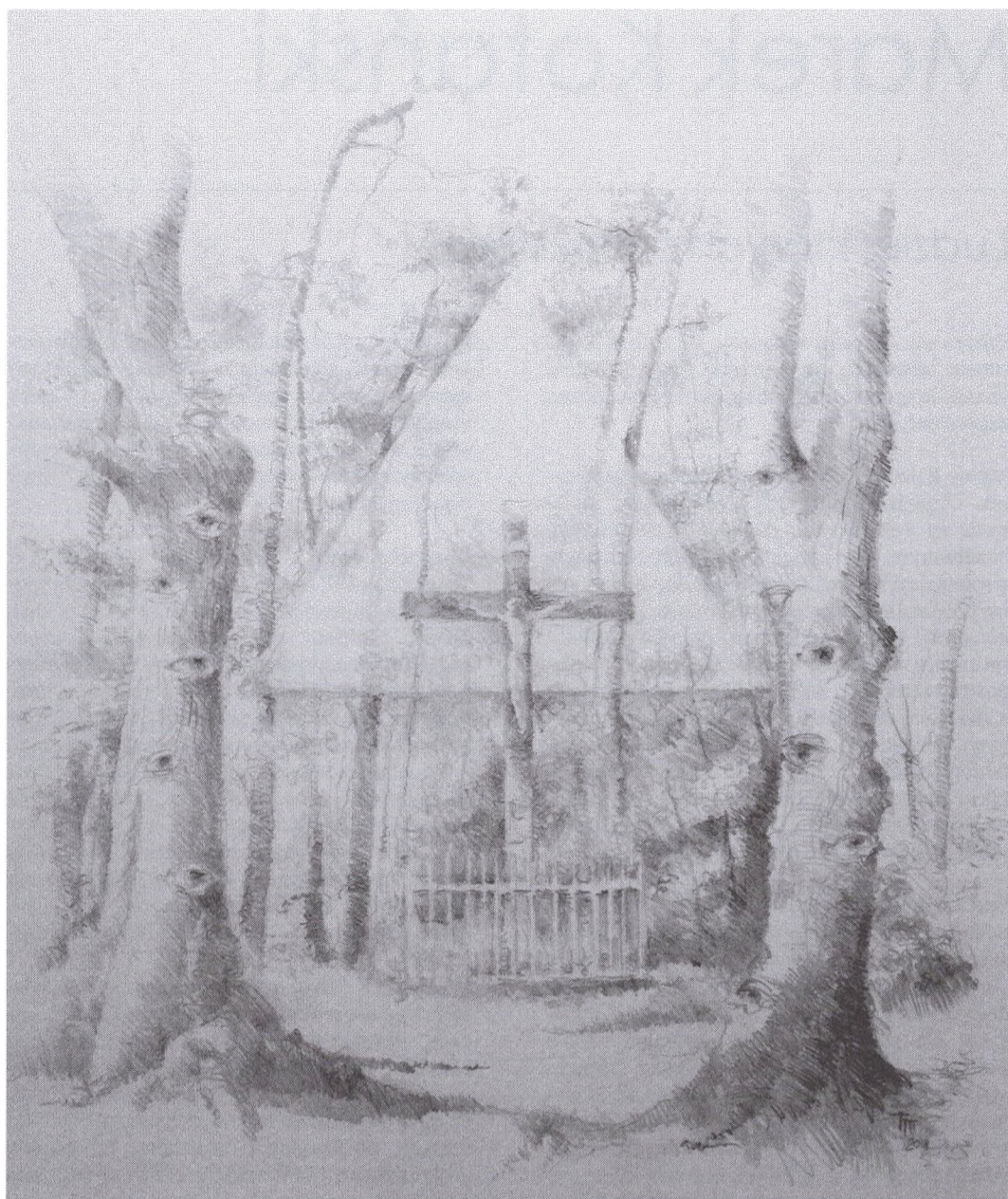
– Magowie prosto z piekła! – uśmiechnął się profesor Conescu. – Proszę podejść do okna, a zobaczycie pacjenta, który jest największym dziwem natury. I daję słowo, spróbujemy go wyleczyć!

Profesorowie ujrzeni w ogromnym pomieszczeniu blade świecące kule. Raz zbliżały się do siebie, innym razem oddalały.

– Co to u licha jest? – nie wytrzymał Rac.

– Trójca Święta. Do diabła, wyleczmy ją. Wyleczmy ich!

Adam MROZEK



Rys: Tomasz Mazurczak

Marek Kotański

Ludzie, których spotkałem

Zdarza się, że jedno zetknięcie się z kimś pozostawia niezatarte w pamięci ślady. Miałem szczęście spotkać Człowieka, którego nie można zapomnieć.

Marek Kotański. Psycholog, terapeuta, społecznik. Organizator licznych przedsięwzięć mających na celu pomoc osobom uzależnionym, bezdomnym, byłym więźniom. Twórca inicjatyw wspierających ludzi, którzy w tzw. opinii publicznej powinni być usunięci na margines. Założyciel ośrodków terapii uzależnień, poradni profilaktycznych, ośrodków dla bezdomnych, noclegowni i schronisk, domów dla samotnych matek z dziećmi, ośrodków dla osób niepełnosprawnych, hospicjów. Organizował osady dla dotkniętych wirusem HIV i chorych na AIDS. Jego życiową pasją była pomoc drugiemu człowiekowi. Nie odwracał się od potrzebujących, natychmiast reagował na chorobę, kryzwę, biedę.

Spotkałem Go w październiku 1982 w Kaliszu podczas Dni Kultury Chrześcijańskiej. Trwał stan wojenny, szalała cenzura. Oazami wolnego słowa pozostawały świątynie. Kościół był wówczas otwarty dla wszystkich, nie tylko wierzących; dla wszystkich, którzy pragnęli wolnej Polski i którym nie po drodze było z komunistycznym reżimem. Po wprowadzeniu stanu wojennego część ludzi Solidarności zaczęła działać w różnorodny sposób w parafiach. Stąd też moja wtedy obecność w kaliskich kościołach – pojechalśmy tam z naszą parafialną grupą młodzieży ze Słupcy. Jako czynnemu uczestnikowi nie dane mi było obserwować kulturalnych wydarzeń. Ale – dostałem więcej! Naszym przydziałem była słowno-muzyczna „oprawa” mszy świętych, podczas których (zamiast homilii) o swoich dzia-

łaniach mówił Marek Kotański. Było to poruszające, nowe, słuchałem z szeroko otwartymi uszami. Kotański mówił o problemie, który w społecznej świadomości był wąskim marginesem, a według peerelowskich władz – w socjalistycznym państwie nie istniał (z definicji). Mówił o narkomanii...

Rozpoczął pracę z narkomanami już w 1978 r. Wtedy założył stowarzyszenie Monar (zarejestrowane dopiero w 1981 r.) i otworzył w Głuskowie pierwszy ośrodek. Zastosował nowy sposób leczenia polegający na stworzeniu miejsca, gdzie uzależnieni mieszkają razem z terapeutami. Nie na zasadzie szpitala, a wspólnego gospodarstwa domowego – wszyscy włączają się w jego utrzymanie, wykonując wszelkie codzienne prace. Mówiono, że porywa się z motyką na słońce. On się nie poddał. Poświęcał się bez reszty, całego siebie wkładał w działanie, czuł spełnienie. Efekty okazały się dużo lepsze niż się spodziewano, zaczęto dostrzegać osoby uzależnione, teraz Monar prowadzi ponad 150 ośrodków.

Wtedy, w Kaliszu, czasu na rozmowy było tyle, co przy stole podczas posiłków. Rozmowy... raczej przewaga monologów. Kotan mówił dużo i szybko, tryskał energią, kipiał emocjami. Nie trudno było zauważyć, że ten człowiek żyje tym, co robi; jest w każdym calu autentyczny, do bólu szczery, przekonany o słuszności i potrzebie swych działań. Robił wrażenie! Ale – szczególnie pamiętam powtarzające się po wyjściach z kościoła sceny: młodzi ludzie podchodzący do Niego z podziękowaniami, serdeczne powitania, uściski... i wzruszona matka z wiązaną kwiatów. Najlepsze potwierdzenie wszystkiego, o czym mówił!



Marek Kotański wydaje posiłek bezdomnym

Później, gdy słabnąca komuna poluzowała, o Jego kolejnych działaniach można było dowiedzieć się wreszcie nawet z tv. Nie stał w miejscu. Pomagał alkoholikom, ludziom zakażonym HIV, chorym na AIDS. Znow napotykał na opór, niezrozumienie... I znów to pokonywał, parł do przodu, próbował przekonywać. Może tego ostatniego było za mało? Bo widzieliśmy te obrazy agresji, napadów na domy dla nosicieli wirusa bądź chorych. Nietolerancja, strach powstały z ignorancji, niewiedzy... Cóż, mamy to do dziś. W 1993 r. Kotański stworzył Ruch Wychodzenia z Bezdomności „Markot”. Rok później – system pomocy dla opuszczających więzienia. Dla każdego miał otwarte serce. Działał szybko, często bez zastanowienia. Nie znoślił uprzedzeń i mówienia, że czegoś nie da się zrobić. Terapeutą był konsekwentnym, zimnym i surowym. Mówił: letni terapeuta to martwy pacjent.

Zarzucano mu chęć rozgłosu. Ktoś powiedział, że teraz byłby celebrytą pozującym na ścianie.

Myślę, że jeśli tak – to stałby tam dla sprawy. Oczywiście, nie był człowiekiem bez skazy. Jego przyjaciele wspominają Go jako narcystycznego choleryka. Wybuchał, nie przebierał w słowach. A po takich erupcjach spokojnie wracał do pracy.

Jego życie przerwał wypadek samochodowy w 2002 r. Uderzył w drzewo chcąc ominąć rowe-rzystę – pijanego...

Przywracał ludziom godność. Uwierzył w tych, których inni przekreślili. Mawiał: „W kraju, gdzie bardzo głośno mówi się o miłości człowieka, jest jej coraz mniej. Ci, którymi się opiekuję są jak wyrzut naszego sumienia”.

Leszek MAŃKOWSKI
Foto: Sławomir Kamiński
Agencja Gazeta,
www.kultura.onet.pl

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

PAULA PIASECKA

1 Kim jestem...

Rocznik 1987. Śremianka z krwi i kości. Jestem jaka jestem, dzięki moim cudownym rodzicom, którzy są moimi najcudowniejszymi przyjaciółmi. Oprócz prowadzenia Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt w Gaju prowadzę zwariowany tryb życia. Kocham ponad wszystko zwierzęta – szczekające, miauczące, pełzające, syczące, beczące. Moja rodzina to również zwierzęta – wszystkie odratowane. Ina, Lejdi, Jerry – psiaki i dwa koty – Albinek charakterny facet i delikatna dziewczynka Smółka. Wierzę, że ludzie nie spotykają się przypadkiem. Mam zasadę – niczego nie udaję. Mam ogromny szacunek i sentyment do starszych ludzi – uwielbiam ich zmarszczki i pocziwy uśmiech. Chciałabym być źródłem

siły dla słabszych. Lgnę do ludzi, którzy robią to co lubią, zarażają innych pasją i radością życia. Moja praca zawsze była dla mnie wielką przyjemnością i źródłem satysfakcji. Stopniowo małymi kroczkami dochodzę do celu. Chciałabym nie przejmować się drobnostkami. Mam też prywatny świat, który jest tylko mój i daje mi szczęście. Nie buduję w życiu żadnej pozycji. Jestem sentymentalna i bardzo wrażliwa.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Mój wymarzony DOM i Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Gaju – dołożyłam małą cegiełkę do stworzenia tego magicznego miejsca.

3 W czym jestem dobra... A w czymś jestem???

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Chciałabym kiedyś wydać książkę o życiu Schroniska w Gaju. Nie tylko o „gajowych” zwierzętach, ale również o wielkich Ludziach, którzy poświęcają swój cenny czas, by je ratować.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Jest coś co bardzo chciałabym zmienić. Zmiany powoli zachodzą. Nie chcę o tym mówić. Jak mi się uda, to zmiany będą widoczne gołym okiem.

6 Co daje mi szczęście...

To, że potrafię kochać i że czuję się kochana oraz czas spędzony z najbliższymi.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Spełnione marzenie z dzieciństwa – dzień kiedy podpisałam akt notarialny związany z nabyciem mojej działki budowlanej.

8 **U przyjaciół najbardziej cenię...**

Poświęcony bezinteresownie czas oraz szczerość.

9 **Bohaterstwo to dla mnie...**

Kiedy ktoś swój cenny czas oddaje istocie potrzebującej. Moim bohaterem jest moja Mama, która poświęciła 4 lata na opiekę nad moją babcią, która po ciężkim udarze była osobą leżącą, potrzebującą opieki 24h na dobę.

10 **Epoka, w której chciałbym żyć...**

Stworzyłabym swoją epokę. Epoka „Pyłki” na podstawie wiersza *Szukam świata...* Jarosława Borszewicza.

11 **Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...**

Gdyby wyginęły wszystkie zwierzęta na świecie.

12 **Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...**

Mój talizman – pierścion z szafirem, który powstał z obrączek ślubnych moich dziadków. Bez niego nie ruszam się z domu.

13 **Moja największa wada...**

Podobno nawet jak nie mam racji to i tak w swoim mniemaniu ją mam. Ale podkreślam: podobno.

14 **Główna cecha charakteru...**

Jestem zodiakalną RYBĄ – intuicja.

15 **Moje motto życiowe...**

Trzy – od trzech różnych, ważnych dla mnie osób. 1. „Możesz nie wiedzieć, ale nie możesz nie chcieć” JS. 2. „Dobro, które ofiarujesz powróci do Ciebie z wielokrotnością” LW. 3. „Czas poświęcony drugiej istocie jest największą wartością” Mama.

16 **Ulubiony dźwięk...**

Haha! Mojej ukochanej suszarki do włosów! Tak, wiem jestem inna...

17 **Dźwięk, który mnie denerwuje...**

Dźwięk budzika. Nie jesteśmy w stanie się zaprzyjaźnić. To pewne.

18 **Nie mogłabym żyć bez...**

Miłości i poczucia bezpieczeństwa, które w moim rodzinnym domu było zawsze. Aaaa i oczywiście bez przytulania. Uwielbiam się przytulać.

19 **Co wzbudza we mnie lęk...**

Cierpienie fizyczne wywołane chorobą.

I kury. Dlaczego... nie wiem. Od dziecka nie mogę się przełamać i nie jestem w stanie się z nimi zaprzyjaźnić. Żeby sprawa była jasna – również ich nie zjadam. Nie jem niczego, co się rusza!

20 **Moje ukryte marzenie...**

Hm... Puste schroniska dla zwierząt. Puste domy starców. I może puste domy dziecka. A realnie... Chciałabym kiedyś przebiec półmaraton.

21 **Dar natury, który chciałabym posiadać...**

Hm... kącik ziół w swoim ogrodzie.

22 **Zawsze śmiesz mnie...**

Czesio z *Włatcy móch*. Może lepiej nie będę rozwijać tematu. Czesio jest jedyny!

23 **Słowo, którego nadużywam...**

Serio??? – poważnie mówisz?

24 **Zdanie o mnie, które zapamiętałam...**

„Paula, co tu dużo gadać – zapamiętaj w Gaju królowa jest tylko jedna”.

25 **Mysł, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...**

Po każdej burzy wychodzi słońce.

26 **Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...**

Skrzywdzone i bolące wnętrza z czasem stają się toksyną. Dlatego też nie chcę myśleć, komu i czego mogłabym nie potrafić wybaczyć.

27 **Wolność to dla mnie...**

Ptak. Szybujący wysoko w obłokach, swobodny i szczęśliwy.

28 **Kim chciałabym być, gdybym nie była tym kim jestem...**

Artystką-malarką.

29 **Obecny stan mojego umysłu...**

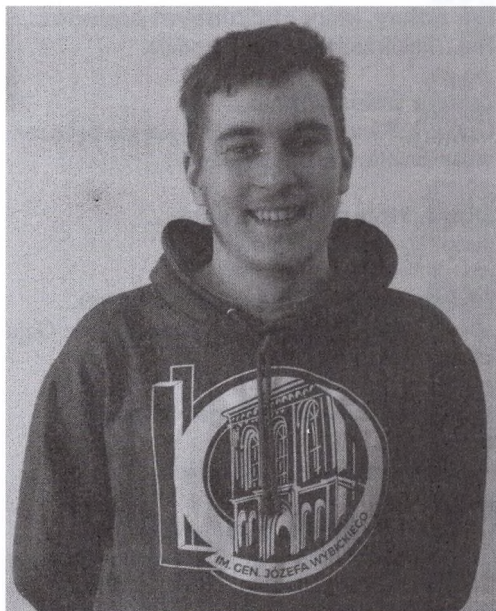
Ciągle i nieustannie ZBZIKOWANY.

30 **Kim chcę zostać w pamięci innych...**

Osobą, która stara się tak żyć, by robić swoje i nikogo nie krzywdzić.

NASZTALENT

Krystian Skotarczak



Rocznik 2000. Mieszka w Śremie. Uczeń II klasy Liceum Ogólnokształcącego im. gen. J. Wybickiego w Śremie.

Krystian to kolejny młody człowiek, jeszcze uczeń LO, którego zainteresowania i to czym lubi się zajmować są niecodzienne. Może trudno zakwalifikować go jako talent, ale to młody człowiek z pasją. Oprócz tego, że interesuje się historią, historią regionu, ma jeszcze inną pasję – odtwarza na podstawie oryginałów, dokumentów i fotografii sztandary. Nie są wprawdzie wykonane z materiałów „sztandarowych”, ale nie o to tu chodzi. Aż trudno sobie wyobrazić młodego chłopaka, który popołudniami lub wieczorami haftuje. Jest

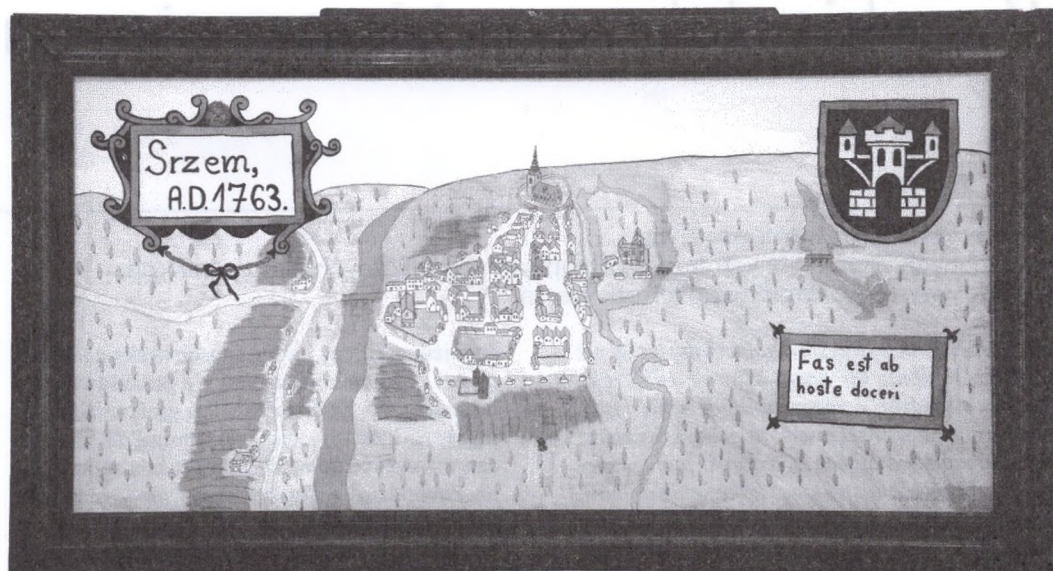
samoukiem, ale wykonane przez niego haftowane motywy wyglądają bardzo profesjonalnie. Do tej pory odtworzył trzy sztandary – Królewskiego Gimnazjum w Śremie (2016 r.), sztandar Mariański z 1870 r. (2017 r.) oraz sztandar Ochotniczej Straży Pożarnej w Śremie. Kolejnym, który chce wyhaftować, jest sztandar Towarzystwa Powstańców i Wojaków w Śremie. Na razie poszukuje w źródłach zdjęć i opisów. Praca nie jest łatwa, wymaga cierpliwości i dokładności, dostosowania rodzaju haftu do motywu, odpowiedniego dobrania kolorów i rodzaju nici. No i wypracowania własnej metody pracy, bo Krystian jest amatorem – nie używa ram do naciągania materiału, nie ma swojej pracowni. Praca nad sztandarem trwa około półtora miesiąca.

Historią interesował się od zawsze – kiedyś jego ulubioną książką był *Poczet Królów Polskich*. Potem przyszła kolej na bitwę pod Grunwaldem, starożytny Rzym, średniowieczne Cesarstwo Niemieckie, Japonię. W szkole podstawowej brał udział w konkursach wiedzy o Wielkopolsce – w IV, V i VI klasie był laureatem na poziomie lokalnym. Ostatnim „dziełem” Krystiana jest namalowany na podstawie ilustracji w *Dziejach Śremu* najstarszy polski plan Śremu sprzed 1789 r., którego oryginał zaginął. Krystian powiększył go, przerysował, podkolorował, oprawił w wyszukaną w piwnicy ramę. I jest. Jak mówi: „to było takie krótkie zajęcie” – praca zajęła mu 3 dni.

Oprócz historii interesuje go chemia, ale przyszłość wiąże jednak z historią – chce studiować Archiwistykę na UAM w Poznaniu.

W tym roku został laureatem Józefa – dorocznej nagrody przyznawanej przez społeczność licealną – za osobowość roku 2018.

Ewa NOWAK



Plan Śremu na płótnie, poniżej fragment repliki sztandaru Królewskiego Gimnazjum w Śremie autorstwa Krystiana



Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...
mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych,
a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Gdziekolwiek nie bylibyśmy, tam byłoby lepiej niż jest tutaj. W filmie Michaela Kliera z 1988 roku jesteśmy wszędzie, a zarazem nigdzie nie jesteśmy. Najpierw w Warszawie, to martwe miejsce, które składa się z dwóch podwórek, pubu, czarnego rynku na błotnistej łące i kilku ścian domów, ponurego i pustego jak morze. Potem w Berlinie Zachodnim, miasta granicznego, który wygląda jak pustynia, jak przestrzeń miejska w tanich filmach science fiction...

Polska w 1988 roku. Jerzy młody warszawiak ma tylko jeden cel: opuścić swoją ojczyznę, która wydaje mu się nie mieć perspektyw. Oprócz szemranych interesów, jakie prowadzi w ciągu dnia, nic już go tam tak naprawdę nie trzyma. Dzięki nim Jerzy oszczędza pieniądze, tylko po to by spełnić marzenie o przeprowadzce do Ameryki. Podczas jednego z ostatnich nocnych spacerów po mieście wpada na kilku przyjaciół w barze i tam poznaje też kelnerkę Ewę.

Ameryka jest jego wymarzonym celem, ale na razie osiadzie w Berlinie Zachodnim. Tam Jerzy spotka się z innymi Polakami, których życie zawodowe to nie dalej niż praca służebna. Sam zaczyna pracować dla firmy cateringowej, a następnie jest bardziej „ambitny” i znajduje pracę jako ściągacz opłat pewnego rekina pożyczkowego. W Berlinie też ponownie spotka Ewę, którą poznał tuż przed wyjazdem. Okazuje się, że oboje mają ten sam plan...

Życie „na Zachodzie” okazuje się jednak o wiele mniej obiecujące niż się spodziewano. Tak samo Jerzy, jak i Ewa muszą „utrzymywać się na powierzchni” podejmując dorywcze zajęcia, które czasami są bardziej, czasem mniej legalne. Wydawać by się mogło, że młodzi rozpoczynając wstępną relację, będą mogli wyrwać się z ponurej

codziennej rutyny i w ten sposób zyskają jakiś inny cel poza niekończącymi się poszukiwaniami lepszej pracy. Kobieta po kilku spotkaniach z Jerzym, na których często wspomina, że jest rozczarowana i że to nie tak wyobrażała sobie życie na Zachodzie, znika bez śladu nie zostawiając żadnej wiadomości.

Początkowo zrezygnowany Jerzy powoli zaczyna realizować swój stary cel bo tak naprawdę nigdy nie porzucił swojego marzenia o Ameryce. Właściwie, dla niego Berlin Zachodni był zawsze swego rodzaju „stopem” w drodze do Ziemi Obiecanej. W Ameryce jest pewien – wszystko będzie lepsze! Tak więc, z jeszcze większą determinacją, krętymi ścieżkami zdobywa i finansuje nielegalne papiery imigracyjne.

Wkrótce udaje mu się do Stanów dotrzeć i zostaje pochłonięty przez ogromną metropolię Nowego Jorku. Kiedy pewnego dnia przechodzi przez Manhattan, nagle słyszy i rozpoznaje polską melodię graną na akordeonie. W pobliskim polskim lokalu spotyka ostatnią osobę, którą spodziewał się tam spotkać...

Michael Klier jest wspaniałym narratorem i tak samo doskonale pokazuje życie na wygnaniu, pełne nadziei, melancholii, rozczarowania. Reżyser bez wątplenia zna doświadczenie emigranta z pierwszej ręki, sam urodził się w Czechosłowacji i mieszkał najpierw w Paryżu, a później w Berlinie Zachodnim. *Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma* to prosta historia o życiu w obcym kraju.

Mnie film Kliera kojarzy się bardzo z *Inaczej niż w raju* Jima Jarmuscha z 1984 roku. Tyle że śmiałabym stwierdzić, że Klier jest tutaj bardziej urzekający niż Jarmusch! Może dlatego, że w filmie *Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma* bohaterami są Polacy...



Fot. materiały prasowe filmu

Oba filmy opowiadają w sumie tę samą historię. Są to opowieści o zderzeniu marzeń z rzeczywistością. Dla przybywających do Stanów Zjednoczonych imigrantów są one mitycznym Eldorado, uosobieniem sukcesu i dobrobytu. W świadomości zbiorowej Ameryka funkcjonuje jako kraina, gdzie pucybut w mgnieniu oka może się zamienić w milionera, a wystarczy do tego trochę szczęścia i dobrej woli. Innymi słowy Ameryka zawsze była symbolem ogromnych możliwości istniejących przed ambitnym i pracowitym człowiekiem. Zarówno Klier i Jarmusch pokazują patetyczną fałszywość tego mitu.

Filmy pokazują za to tą realną Amerykę, która staje się udziałem każdego imigranta. To świat budek z hot-dogami, brudnych ulic i śmierdzących mieszkań, melinowatych szulerni; świat ten jest zaludniany przez zwykłych, małych ludzi, takich jak Jerzy czy Ewa. Reżyserowie kpią z „amerykańskiego snu” o dobrobycie i szczęściu dla wszystkich. Warszawa, Berlin Zachodni i Nowy Jork. Te trzy miasta w filmie pojawiają się w całym swoim smutku prawie wymiennie, sprawiają wrażenie scen, tanich dekoracji na tle „bohaterów”, jak dodatki w ich życiu... Także, czy tak naprawdę wszędzie dobrze, tam gdzie nas nie ma?

Film nakręcono z myślą o telewizji na czarno-białej taśmie 16 mm, o wysokim kontraście i zdjęcia tutaj naprawdę robią ogromne wrażenie. Warto też zwrócić uwagę na błyskotliwą grę aktorską. Młody Mirosław Baka w rok po wystąpieniu w *Krótkim filmie o zabijaniu* Kieślowskiego jest po raz kolejny naprawdę genialny! Polecam bardzo!

Joanna CHMIELEWSKA

Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma

Tytuł oryginalny: *Überall ist es besser, wo wir nicht sind*

Kraj: RFN

Rok produkcji: 1989

Reżyseria: Michael Klier

Scenariusz: Gustav Barwicki, Michael Klier

Zdjęcia: Herve Dieu, Sophie Maintigneux

Scenografia: Jerome Latour

Obsada aktorska:

Mirosław Baka

Marta Klubowicz

Michael Krause

Anna Pastewka

Anja Franke

Pijana makrela i inne cykorie

Z górnej półki

Tym razem chciałabym Państwu polecić niepozorną książeczkę znanego brytyjskiego pisarza, laureata Nagrody Bookera z 2011 r., Juliana Barnes'a – *Pedant w kuchni*. Książka jest zbiorem felietonów, które wprawdzie nie traktują o sprawach życia i śmierci, jednak dotyczą niezwykle istotnego elementu naszej egzystencji, a mianowicie jedzenia. Jest to dzieło skierowane do wybranych: tych, którzy nie tylko dobrze bawią się przy garach, ale wręcz uwielbiają gotować dla bliskich i z tego tytułu przeżywają stresy, napady paniki, a czasami euforię. A zatem, to zdecydowanie książka dla mnie. Ktoś, kto sprezentował mi ją na Gwiazdkę, wiedział, co robi. Myślę, że wiele osób, które lubią godzinami rozprawiać o gotowaniu przy lampce (albo raczej lampie) czerwonego wina i smacznym jedzeniu, z radością zagłębi się w prozie Barnes'a. Tym bardziej, że jest to literatura tryskająca wręcz humorem, a więc łatwa, lekka i przyjemna, w dodatku niewielkich rozmiarów. Dokładnie taka, jaką chętnie wrzucimy do walizki przed wyskokiem na jakiś krótki (i smakowity) weekend.

Narrator, którym jest, co tu dużo kryć, sam autor, stał się *gastro fashion victim*, jak ostatnio wielu z nas, czyli ofiarą mody na gotowanie oraz książek kucharskich i przepisów. Czy znacie to uczucie zazdrości, kiedy jakaś gastro gwiazda you tube'a czy innej telewizji, z uśmiechem i zwinnością podrzuca placuszki z cukinii, a ty po takim samym eksperymencie zeszkrobujesz resztki rozmrażanego ciasta nie tylko z patelni, ale też z szafek nad kuchenką? No właśnie. Julian Barnes pisze dla ciebie. Pedantom w kuchni radzi wrzucić na luz, a luzaków zapewnia, że nigdy nie upieką porządnego ciasta bez stosowania alchemicznej precyzji. Barnes nie obdarza cię bezpo-

duktywnymi radami w stylu Doskonałej Pani Domu – „znajdź chwilę na odpoczynek przed przyjściem gości”... Nie, on nam mówi, jak tego dokonać.

Bynajmniej nie jest to książka kucharska *sensu stricto*, raczej zbiór esejów – na temat mody na gotowanie, zakupu produktów, urządzania kuchni, zastosowania narzędzi i przestrzegania przepisów, na temat gastronomicznych zwyczajów i przesądów oraz historii gastronomii. A wszystko to nafaszerowane pysznymi anegdotami z życia towarzyskiego i kulinarnego autora. Kucharz amator, który – jak mówi narrator – chce tylko spokojnie sobie pogotować, poszerzając stopniowo swój repertuar dań, z pewnością odnajdzie w tym siebie. Zgłodził w miarę lektury czytelnik, napotka też tutaj kilka całkiem obiecujących przepisów. Jeden z nich – cykorię duszoną z kotлетem wieprzowym – mam zamiar wkrótce wypróbować, uwielbiam bowiem cykorię we wszystkich postaciach. Nie polecam natomiast (kuchnia brytyjska nie przestaje mnie zaskakiwać ilością dań, no... co tu dużo mówić, obrzydliwych), gotowania makreli w martini, po której goście pisarza „byli bardziej pijani, jak najedzeni”. Co ciekawe, w książce pojawia się rodzimy akcent. Powołując się na Eduarde'a de Pomiana, francuskiego naukowca i dietetyka z polskimi korzeniami, Julian Barnes przytacza przepis na świetną, jego zdaniem, zupę ze smażonych na maśle pomidorów. Jak zapewne domyśla się każdy z czytających te słowa miłośników literatury i gotowania, jest to po prostu przepis na naszą wielkopolską zupę pomidorową, którą z apetytem jemy często przy stole teściowej!

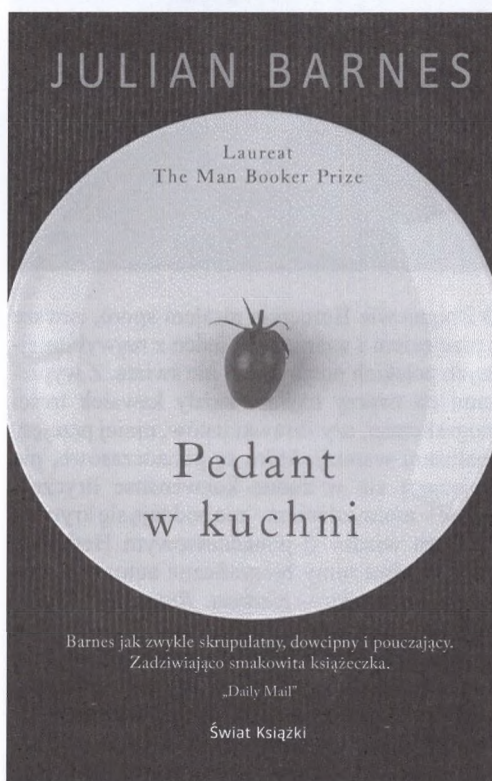
Jak już jednak wspominałam dzieło autora *Papugi Flauberta* nie jest książką kucharską. To momentami filozoficzna próba zmierzenia się z narzuconymi odgórnie przez autorów z kulinarnego Olimpu zasadami, których stosowanie nie zawsze kończy się sukcesem. Próba, można by rzec, podważenia najwyższych autorytetów przez dzielnego kuchcika, który jednakowoż ma swój rozum i doświadczenie. Barnes przytacza kilku pisarzy, głównie francuskich i brytyjskich, będących w swoim czasie autorytetami dietytyki i sztuki gotowania, by polemizować z nimi, bądź odważnie rzucać im kucharską rękawicę. W tej polemice, często dobrze udokumentowanej i zawsze dowcipnej, my domorośli amatorzy sztuki kulinarnej, stajemy całym sercem po stronie autora.

Nie chciałabym psuć tej krotoczwilnej atmosfery, która w niniejszym felietonie pojawiła się za sprawą esejów na temat sztuki kulinarnej, ale... No właśnie, ale. Sądząc po tym, co dzieje się z codziennym odżywianiem za oceanem, a bliżej, za kanałem La Manche, coraz częściej nad brzegami Sprewy, czy Wisły, napisana w 2003 roku zabawna książka Barnes'a, mówi w rzeczywistości o sprawach poważnych. Po tym, jak zobaczyłam w brytyjskim supermarkecie olbrzymią ścianę szaf chłodniczych z daniami do podgrzania, a nigdzie, ale to nigdzie, nie znalazłam choćby kawałka zwykłej ryby, niechby była mrożona, zaczęłam się obawiać, co z nami będzie? Tę obawę podzielałam z autorem wstępu do książki, wielkim szefem brytyjskiej gastronomii, Markiem Hixem, który ubolewa między innymi nad tym, że współczesna edukacja dziewcząt i chłopców nie przewiduje nauki gotowania. Rzeczywiście szkoda.

Szkoda też, że w naszym, coraz bardziej zabieganym życiu, zapominamy często o ważnym rytuale – wspólnym jedzeniu w gronie bliskich, źródło nie tylko przyjemności, ale i zdrowia (jeśli stosowane z umiarem).

Jola ANDRZEJEWSKA

Pedant w kuchni Julian Barnes
wyd. Świat Książki 2017



Pan od poezji...

Warto przypomnieć



O Zbigniewie Herbercie pisałem sporo, zawsze z przejęciem i wiarą, że to jeden z najwybitniejszych polskich poetów, czy nie świata. Z wypiekami na twarzy czytam każdy kawałek treści biograficznej, czy skrawki listów, mniej przejęty analizami wierszy, które są ponadczasowe, nie wpisujące się w żadne konwenanse liryczne, a więc – moim zdaniem – nie poddają się krytyce. Źródłem wiedzy o ponadczasowym Herbercie stały się dwa tomy biograficzne autorstwa Andrzeja Franaszka – *Herbert. Biografia. Tom I. Niepokój* oraz *Herbert. Biografia. Tom II. Pan Cogito*. Fenomen książek sprawiających o życie i twórczości Zbigniewa Herberta polega na nietuzinkowym obrazie życia tego wybitnego twórcy, życia pełnego niepokoju, choroby, miłości, zniewagi, czy świadka przełomów historycz-

nych. Chyba warto przytoczyć kilka faktów, które ponownie przybliżą postać Herberta – nie tylko poety, a przede wszystkim wrażliwego świadka historii Polski.

Lwów, miasto w którym 29 października 1924 roku urodził się mistrz Herbert, wiele lat było bohaterem wierszy, wspomnień rodzinnych. Herbert wspomina swojego ojca: *wiele lat bałem się ojca, który przeczuwał, że stanę się artystą. On skrywał w sobie artystę, poetę*. Dzieciństwo spędził w letniskowej willi w Brzuchowicach. Ojciec był dyrektorem Małopolskiego Banku Kupieckiego, a potem szefem lwowskiego oddziału towarzystwa ubezpieczeniowego Vesta. Dzięki ojcu poznał najważniejsze dzieła literackie: *Odyseję*, losy jej bohaterów – co pozostawiło wiele śladów w twórczości Herberta. Od 1944 roku rodzina Herbertów przebywała w Krakowie.

Po czasach wojennych m.in. zajmował się dwutygodniowym biuletynem gospodarczym w Narodowym Banku Polskim oraz studiował, np. filozofię na Uniwersytecie w Toruniu. W Gdańsku zarabiał odczytami – w różnych instytucjach: domach ludowych, tartakach, itp. Jego niedoścignętym filozoficznym wzorem był profesor Henryk Elzenberg – wybitny filozof i eseista. Zarabiał pieniądze również jako krwiodawca albo w Centralnym Zarządzie Torfowisk. Dopiero wyjazd w 1958 roku do Paryża otworzył przed nim perspektywę poznania światowej sztuki. To właśnie w Paryżu zaczął zbierać materiały do *Barbarzyńcy w ogrodzie*, esejów o sztuce Francji i Włoch. To tam spotkał się z sir Johnem Gielgudem, Louisem Armstrongiem, Luchino Viscontim i wieloma innymi wielkimi sztuki.

Herbert twierdził, że *nie ożeniłem się, zbyt wierny byłem wszystkim kobietom*. Sporo romansów, przelotnych spotkań, no i wreszcie w 1968 roku małżeństwo z Katarzyną Dzieduszycką, które przetrwało 30 lat. Jak pisze Franaszek, artysta pogubił się w tworzeniu własnej aury. Walczył z depresją tylko w jeden sposób: alkohol. Częste kontakty z Grochowiakiem, Iredyńskim spowodowały uzależnienie alkoholowe, co skutkowało wieloma niestandardowymi zachowaniami: pobicia, skutki chorobowe – strach, trzęsienie głowy, rąk. Kiedy depresja mijała śmiał się bez powodu, a potem przychodził czas pracy. Okresy depresji wydłużały się! Również w alkoholu utonęła przyjaźń z Czesławem Miłoszem i to już podczas pierwszego spotkania w Paryżu. W maju 1998 roku, na dwa miesiące przed śmiercią doszło z Miłoszem do rozmowy. Jak wspomina brat Miłosza: *rozmawiali bardzo swobodnie, ale o niczym ważnym... To była jakby normalna pogawędka, żadnej skruchy z jednej, czy drugiej strony...* Miał sporo kłopotów ze służbą bezpieczeństwa, szczególnie przed każdym wyjazdem i po każdym powrocie. Z negacją komunizmu i PRL wiązał się najważniejszy cykl o Panu Cogito – pierwsze ślady Pana Cogito można zauważyć w 1962 roku. Stworzył go z potrzeby stworzenia alter ego. W ostatnich miesiącach swojego życia tęsknił do dawnych przyjaciół, a jednocześnie ich odpychał. Zlekceważył fakt wręczenia Nagrody Nobla Wisławie Szymborskiej – tylko zdawkowy telegram, opieszale gratulacje chociażby dla Różewicza. Skonfliktowany, depresyjny zmarł, a pochowany został 31 lipca 1998 roku na Powązkach. Miłosz żegnał Herberta słowami: *umarł wielki poeta. Każdy kraj ma w ciągu całej swojej historii zaledwie kilku takich poetów*.

Opuszczony

Już tży mnie opuścili
i tylko czasem
trzęsą się śmiesznie plecy
w dłoniach zamykam twarz

To są chwile słabości
gdy nagle sobie przypomnę
różowe półksiężyce
wschodzące z nad Twoich palców

Lub jakieś zdanie z listu
"czekam Ciebie po śmierci"
lubi cień mój na peronie
kiedy pociąg odjeżdża

Potem przychodzi tępy spokój
ucichły smutek greckiej wazy
i doskonałość samotności

Opuszczony nawet przez tży
opuszczony przez gest wymowy
pięknie załamanych rąk

Opracował
Adam LEWANDOWSKI

Wykorzystano teksty z książek Andrzeja Franaszka oraz artykułu Jacka Cieślaka *Podwójne życie Pana Cogito*

Foto: materiały prasowe

Słowacki wielkim poetą był?

Okiem belfra

16 lat pracy w szkole ponadgimnazjalnej daje nauczycielowi nieco doświadczeń i zmusza do wielu refleksji – nad światem, nad uczniami i nad sobą. Do tych przemyśleń dołączyć postanowiłam także temat najbliższy mojej dziedzinie – literaturę. Od lat wskazuję moim uczniom listę lektur obowiązkowych, podpowiadam lektury uzupełniające, naprowadzam na ciekawe książki, które warto przeczytać. Jakże wiele razy musiałam odpowiadać na pytanie, dlaczego lista lektur wygląda tak, a nie inaczej. Moim zadaniem jest nie tylko pomóc uczniom zrozumieć dzieło i kontekst, podjąć próbę interpretacji utworu, zainspirować się podejmowanymi tematami. Od lat muszę też bronić pozycji lektur na ministerialnej liście. Standardowe pytanie ucznia brzmi: dlaczego musimy to czytać, skoro nic z tego nie rozumiemy?

Staram się oswajać dzieła tak już odległe moim uczniom. Nakreślam kontekst historyczny i kulturowy, by poczuli epokę, w której dane dzieło powstało. Jednak zadanie jest coraz trudniejsze. Język, forma i temat nie trafiają do młodego odbiorcy. Przeglądam nową podstawę programową i listę lektur, nad którą będę musiała pracować. I tu budzi się moja wątpliwość, czy na pewno te dzieła zbudują świadomość naszych uczniów?

Klasyka literatury polskiej i światowej powinna być znana kolejnym pokoleniom wkraczającym w dorosłość. Myślę, że warto byłoby ją jednak uzupełnić dziełami, które trafią do współczesnego młodego człowieka. Szkolna lektura obok klasyki powinna poruszać problemy, z którymi zmagają się dziś młodzież. Uczniowie chcą odnaleźć w lekturze bohaterów im podobnych, walczących o znane im ideały, podejmujących decyzje,

jakie są także ich doświadczeniem. Młody czytelnik szuka postaci, które dla niego są autentyczne i im zdecydowanie bardziej ufa.

Powszechnym staje się stwierdzenie, że młodzież dziś nie czyta. A to nieprawda. Młodzi ludzie, których spotykam w mojej szkole, chętnie sięgają po książki. Nie rzadkim jest widok ucznia na szkolnym korytarzu, który siada na ławce z książką w ręce. Młodzi czytają, zaglądają do biblioteki, szukają nowości. Być może nie radzą sobie samodzielnie z językiem Mickiewicza, czy Słowackiego, nie rozumieją formy, jaką przyjął Gombrowicz, dalekie są im wizje świata zaproponowane przez Prusa. Ale chętnie sięgną po dzieła współczesnych twórców, którzy znają świat XXI wieku – ten realny i ten w cyberprzestrzeni.

Myślę, że autorzy kolejnej podstawy programowej powinni znaleźć złoty środek. Sztuką byłoby połączyć klasykę z nowoczesnością. Nie apeluję o odrzucenie w niepamięć polskich romantyków, nie dążę do usunięcia z kanonu pozytywistów. Klasyka to fundament, na którym powinniśmy budować kolejne piętra literackiej świadomości naszych uczniów. Pozwolić im szukać odpowiedzi na trudne pytania zarówno w dziełach fantastyki, jak i współczesnych powieściach obyczajowych. Warto zachęcić do poznania literatury faktu. Zrazić miłością do reportażu. Naszym zadaniem jest bowiem pokazać młodemu czytelnikowi, że czytelnictwo to niekończąca się przygoda. Wymaga pewnej wiedzy, świadomości, wycucia, ale także ciekawości i odwagi w ciągłych poszukiwaniach.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Niecodzienni pacjenci

*Każde miejsce jest jednocześnie
całym światem i każdy człowiek
jest światem samym w sobie*

Amos Oz

Przypuszczam, że szczególnie zafascynowanie powieściami znakomitego pisarza izraelskiego Amosa Oza spowodowało, że przypomniałam sobie moje dwukrotne wizyty w Ziemi Świętej. A było to bardzo dawno, bo 30 lat temu. Był rok 1987. Wrzesień. Nie mogłam sprecyzować planów urlopowych, zwlekałam z decyzją gdzie i kiedy... Nieoczekiwanie dowiedziałam się, że Kuria Metropolitalna w Gnieźnie poszukuje lekarza pielgrzymki księży do Ziemi Świętej. Zgłosiłam się.

I tak zaczęła się moja wielka przygoda. Nie było łatwo, gdyż Polska wówczas nie miała nawiązanych stosunków dyplomatycznych z Izraelem. Do Kairu lecieliśmy samolotem, potem nocą do granicy z Izraelem autobusem bez klimatyzacji. Miałam zawodowe towarzystwo dr LK z Bydgoszczy. Przez 10 dni odwiedziliśmy prawie każdy zakątek tej ziemi. Mieszkaliśmy bardzo wygodnie w Nowym Domu Polskim – klasztorze Sióstr św. Elżbiety, położonym w dzielnicy ortodoksyjnych Żydów w Jerozolimie, kilka minut drogi od Bramy Damasceńskiej. Tam spotkałam nieoczekiwanie zakonnicę pochodzącą z Sosnowca pod Śremem oraz księdza Stanisława Jankowskiego, salezjanina, autora *Przewodnika po Ziemi Świętej*. Jego dedykacja w moim przewodniku „...by pielgrzymka po Ziemi Świętej była trwałym i owocnym przeżyciem”. I jeszcze niespodzianka: Ksiądz prosił bym dostarczyła list do Jego Ojca, który mieszka w Dolsku. „Wie pani, ten płaski domek pomalowany na niebiesko, na zakręcie”. Wiedziałam, to był mój pacjent.

Jerozolima – „Miasto Pokoju”. Jednak przyznam szczerze, że w czasie pobytu nie mieliśmy komfortu psychicznego. Młodzi ludzie wyposażeni w automatyczne pistolety przypominali mi czasy drugiej wojny światowej. Każdy głośny stukot, mowa, hałas podświadomie wyzwał w nas lęk... Wróciliśmy szczęśliwie.

Sądzę, że fakt, iż w Cezarei Filipowej w dolinie Jordanu, gdzie ongiś zarejestrowano najwyższą temperaturę tego regionu wynoszącą ponad 53

Sanktuarium na Górze Błogosławieństw



stopnie Celsjusza, uratowałyśmy życie księdza Infułata – kierownika pielgrzymki, spowodował, że właśnie od Niego po 2 latach otrzymaliśmy propozycję wyjazdu do Jerozolimy. Razem sześć osób, wygodny samolot linii EL-Al w obie strony, przyjazne lotnisko Ben Guriona, ten sam gościnny wygodny Nowy Polski Dom Sióstr Elżbietanek. Trasy wycieczkowe pokonywaliśmy mercedesem przystosowanym do wożenia 7 pasażerów. Ksiądz Infułat obarczony kilkoma chorobami przewlekłymi z usztywnioną w kolanie nogą, czuł

U wejścia do Bazyliki Narodzenia w Betlejem



się przy nas bezpiecznie. Dla nas, jako biblista odwiedzający ten kraj po raz dwudziesty, był kopalnią wiedzy, którą chętnie się z nami dzielił. W wieczornych spotkaniach przy piwie, na tarasie brali udział licznie zgromadzeni mieszkańcy domu. Poprzedni wyjazd, do którego nie byłam „naukowo” przygotowana pozostawił natłok wrażeń, które teraz swobodnie uporządkowałam i delektowałam się krainą. Nie spiesząc się odwiedziliśmy większość miejsc ewangelicznych. Wymienię tylko kilka. Za mury Starej Jerozolimy wchodziliśmy najczęściej Bramą Damasceńską by odwiedzić Bazylikę Grobu Świętego, Via Dolorosa, Wieczernik. Na Górze Oliwnej Bazylikę w Getsemani z Ogrodem Oliwnym, sanktuarium Dominus Flevit oraz Kościół Pater Noster z krużgankiem klasztornym z tekstami Modlitwy Pańskiej w różnych językach. Leżące w pobliżu Jerozolimy: Ain Karim z kościołem św. Jana Chrzciciela, Betlejem z Grotą Bazyliki Narodzenia, gdzie portal obnizono w epoce krzyżowców, by nie wprowadzano do świątyni koni, oraz Emaus, gdzie w dzień Zmartwychwstania, Chrystus do dwóch wędrujących uczniów powiedział „O nierozważni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko co powiedzieli prorocy”. Mimo upływu lat mam obrazy jak żywe w oczach, a odczucia w sercu. Sądzę, że obowiązkowo każdy ksiądz choć raz w życiu winien być obecny w Ziemi Świętej.

Robi wrażenie Morze Martwe i o imponujących rozmiarach twierdza Masada. Tam w 73 roku, 960 broniących się przed Rzymianami osób, poniosło śmierć samobójczą. Dla Izraelczyków Masada stanowi symbol heroizmu narodowego i pogardy dla śmierci.

Mnie zauroczyło Jerycho (słynne z róż) z Górą Kuszenia, Pustynia Judzka, Jezioro Tyberiadzkie-

Galilejskie, położone 212 m poniżej poziomu Morza Śródziemnego, oraz pobliska Góra Błogosławieństw z pięknym nowym sanktuarium i jednym z najpiękniejszych widoków na Galileę. Wspominam Nazaret, gdzie w podcieniach Bazyliki Zwiastowania obrazu Matki Boskiej w wyobrażeniu różnych narodów. Tam w synagodze Chrystus powiedział: „Zaprawdę powiadam wam. Żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie”. Aktualne do dziś.

Tego dnia, gdy po całodzienniej wędrówce wróciliśmy do Domu, Siostra Przełożona witała nas na progu zniecierpliwiona i niespokojna. Potrzebny jest lekarz. Zachorował niemiecki turysta goszczący w Starym Domu Polskim. Nie znam języka niemieckiego, ale znała go koleżanka, będzie zatem tłumaczem. Biegniemy z przewodnikiem. Otwieram drzwi, nikogo nie widzę: „Siostro, tu nikogo nie ma!” Zza drzwi męski głos najczystsza polszczyzna: „Tu jestem”. Przystojny mężczyzna, w średnim wieku, blondyn. Badanie podmiotowe, przedmiotowe, wyciągam wnioski i mam dylemat. W rozpoznaniu różnicowym muszę brać pod uwagę zawał serca, ale pacjent nie zgadza się na żadne badania dodatkowe. Jeszcze raz badam. Stawiam diagnozę, wykluczając zawał serca, daję zalecenia, ale proszę by w razie pogorszenia wezwał karetkę pogotowia. Z godziny na godzinę nastąpiła sukcesywnie poprawa. Byłam szczęśliwa. Spotkałam pacjenta w Hajfie spacerującego z żoną, gdyż tu przed laty brali ślub. Żona o kruczo czarnych włosach, charakterystycznych rysach, elegancka piękna kobieta. Wracaliśmy do Warszawy z Izraela tym samym rejsem. Podszedł, by jeszcze raz podziękować za pomoc, wręczył wizytówkę i zapewnił, że pomoże gdybym w przyszłości czegoś potrzebowała. Powiedział: „Jestem Niemcem, pracuję

w Bonn”. Podziwiałam jego polszczyznę, ale On twierdził, że jeszcze lepiej mówi po rosyjsku.

W jakiś czas potem, gdy już pracowałam, koleżanka ginekolog zdecydowała o dwóch kolejnych cięciach cesarskich. Między jednym a drugim cięciem oczekiwałyśmy na uporządkowanie sali operacyjnej popijając kawę w dyżurce lekarskiej. Wówczas to w odbiorniku TV zauważyłam mojego pacjenta z Jerozolimy stojącego za plecami przemawiającego kanclerza Helmuta Kohla. Krzyknęłam: „Bożenko, mój pacjent!” W momencie gdy koleżanka obróciła się operator pokazywał samego kanclerza Niemiec. Zatem nie zdziwiły mnie Jej słowa: „Basiu, czy Ty nie przesadzasz?”

Dopiero wówczas uświadomiłam sobie co by było gdybym diagnozując pomyliła się. Konflikt polsko-niemiecki? Dzięki Bogu udało się. O pomoc mojego pacjenta nigdy nie prosiłam. Nie było potrzeby.

Właśnie mija 70 lat od proklamacji niepodległości Izraela, 30 od moich wizyt w Ziemi Świętej. Czas to zasadzka, prawda?

Kwiecień 2018 rok

Barbara SIWIŃSKA

Foto: z archiwum autorki

W rzece Jordan



Podlasie

cz. 3

Zapiski z letnich podróży

W poprzednich częściach pisałam o fascynującej architekturze Podlasia, skupiając się głównie na miejscach sakralnych: kościołach, cerkwiach, meczetach i synagogach, miejscach kultu wielu wyznań w tej zróżnicowanej etnicznie części Polski, wcześniej mało mi znanej. Teraz spróbuję przedstawić równie zajmujące przykłady architektury świeckiej od prostych wiejskich chałup po pałace fabrykantów i arystokracji.

Skromne, ale urodne domostwa chłopów, zdobione drewnianą snycerką i malowanymi ozdobnymi detalami najlepiej poznać na szlaku Krainy Otwartych Okiennic. Nazwę tę nadano miejscowościom w dolinie Narwi i jej dopływu Rudni (Trześcianka, Soce, Puchły), gdzie zachowało się najwięcej domów nawiązujących do tradycyjne-

go ludowego budownictwa rusko-ukraińskiego z pięknie malowanymi fasadami, szczytami, okiennicami, wiatrownicami, narożnikami... Najlepiej zapamiętać, że można znaleźć je w połowie drogi z Bielska Podlaskiego do Białegostoku, albo zobaczyć odwiedzając Podlaskie Muzeum Kultury Ludowej ok. 7 km od stolicy regionu. Skansen pokazuje jak toczyło się życie od połowy XIX w. Można tu podziwiać obiekty zaliczane do tzw. małej architektury: kapliczki, rzyże, studnie, ale także zabudowania gospodarcze wokół domostw, a nawet cały dwór przeniesiony ze wsi Bobra Wielka. To prawdziwa gratka dla miłośników tradycyjnego modelu życia, sztuki i obrzędowości ludowej. Muzeum prowadzi spotkania edukacyjne, pokazy i warsztaty. Trochę inne w charakterze, ale także bardzo ma-

Dworkowe kamieniczki w Tykocinie. Fot. U. Łukomska



lownicze są chaty rozsiane w całym rejonie Narwiańskiego Parku Narodowego.

Po chłopskich chałupach czas na kamieniczki mieszczańskie. Wiele z nich zachowało się w Tykocinie i Supraślu. Obecnie część z nich została pięknie odnowiona, ale niektórym nawet 200-letnia patyna dodaje uroku. Wokół Placu Czarnieckiego w tym pierwszym usytuowane są kamienice typu dworkowego zaplanowane przez Branickiego na wzór francuski. Szczególnie wybija się zabytkowy Dom Bagieńskich, ale każdy kolejny jest tykocińską perełką. „Miasto-bajeczka” mawiała o Tykocinie Agnieszka Osiecka, a ja z ochotą przyłączam się do tego określenia. W Supraślu najwięcej mieszczańskich zabudowań znajduje się w centrum i wokół cerkwi Zwiastowania NMP. Specyficzny mikroklimat puszczański i złoza borowinowe pozwoliły mu na uzyskanie statusu uzdrowiska licznie odwiedzanego przez turystów. Zabudowa całego miasteczka jest urokliwa, ma się ochotę na spacer i podziwianie zabytkowych domków. Natomiast niespodzianką jest odrestaurowany pałac Buchholtza z przełomu XIX i XX w., w którym obecnie mieści się jedno z najbardziej znanych w Polsce – Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera. Eklektyczny budynek z fragmentami w stylu neorenesansowym, klasycystycznym i secesyjnym tworzy imponującą całość. Zbudowany został dla łódzkich fabrykantów, którzy po powstaniu styczniowym usiłowali stworzyć tu centrum włókiennicze (częściowo im się to udało), konkurencyjne dla Łodzi i Zgierza. Z tego okresu zachowały się też zabytkowe domy tkaczy.

We wnętrzach rezydencji można zobaczyć sporo secesyjnych dekoracji i aż dziw bierze, że współczesne prace młodych artystów jakoś współbrzmiały z tą sceną wijących się roślinnych wici i rokokowych muszli...

Skoro już jestem przy pałacach muszę zaznaczyć, że znacznie cenniejsze i urodne są te stylowe, barokowe czy klasycystyczne należące do polskiej arystokracji, w tym przypadku do Branickich. Mam na myśli „Wersal Podlasia” – rezydencję rodu w Białymstoku i ich „willę letnią” – pałacyk w Choroszczy. Zanim pałac stał się jedną z najlepiej zachowanych wizytówek epoki saskiej na ziemiach Rzeczypospolitej był zamkiem gotycko-

renesansowym (XVI w.) zbudowanym przez królewskiego architekta Hioba Bretfusa, autora Zamku Dolnego w Wilnie, dworu królewskiego w Knyszynie oraz rozbudowy i modernizacji Starego Zamku w Kamieńcu Podolskim czy Zamku w Tykocinie. W czasach potopu szwedzkiego stacjonowała w nim chorągiew litewska księcia Janusza Radziwiłła, której żołnierze nie chcieli słuchać zdrajcy i przeszli na stronę królewską pod dowództwo Pawła Sapiechy (epizod opisany przez Henryka Sienkiewicza w Potopie). Dobra białostockie wraz z pałacem otrzymał w dowód wdzięczności bohater tej wojny hetman Stefan Czarniecki i przekazał je córce Aleksandrze, żonie Jana Klemensa Branickiego, stolnika królewskiego, herbu Gryf. Od tego momentu pozostawał w rękach tej arystokratycznej rodziny. W XVII w. został kompletnie przebudowany w stylu późnobarokowym przez słynnego holenderskiego architekta działającego w Polsce Tylmana z Gameren. Kolejnych zmian dokonali Jan Zygmunt Deybal i Jakub Fontana. „Wersal Podlasia” był długo mekką artystów, poetów, ludzi nauki... Działał tu teatr dworski, orkiestra,

Pałac Buchholtzów w Supraślu. Fot. U. Łukomska





Pałac Branickich w Białymstoku. Fot. U. Łukomska

zespół baletowy, występowały słynne włoskie divy operowe i primabaleriny. Gościli królowie i księżęta: August II Mocny, August III z żoną i synami, Stanisław August Poniatowski, Józef II Habsburg, Wielki Książę Paweł, późniejszy car czy Ludwik XVIII. Bywał też biskup i poeta Ignacy Krasicki.

Wnętrza pałacowe i ogrody słynęły z urody i przepychu. Tak było do czasu zaborów. Rosjanie ogołocili komnaty z cennych mebli, zabrali kilkadziesiąt rzeźb z francuskich ogrodów... splendor pałacu gasł. Zniszczenia dokonali Niemcy w 1944 r., a po nich Armia Czerwona. Po zakończeniu wojny Polacy postanowili odbudować rezydencję przekazując ją na siedzibę Akademii Medycznej w Białymstoku (dziś Uniwersytet Medyczny). Można z sentymentem dodać, że odrodził się „jak Feniks z popiołów”. Jest odrestaurowany, jaśniejący na tle parkowej zieleni, świetnie wygląda od frontu i ogrodów. Imponujący! Ogrody usytuowane w dwóch płaszczyznach, poziom górny stanowi przystrzyżony, pełen kwiatów – francuski, niżej naturalny w stylu angielskim. Obecnie trwa jeszcze rewitalizacja altan i elementów dekoracji. Polecam uwadze w lecie, cudownie jest spacerować wśród zapachu drzew i kwiatów w samym sercu miasta.

Letnia rezydencja w Choroszczy zaledwie kilkanaście km od Białegostoku, zbudowana w stylu klasycyzującego baroku jest urokliwie położona

na wyspie, otoczona kanałami i parkiem. W czasach Branickich musiała wyglądać wspaniale, jeden z francuskich dyplomatów porównywał ją do włoskich pałaców i nie szczędził zachwyty. Miała burzliwe losy, z pierwotnego wyposażenia prawie nic nie zostało. Odnowiona dopiero w latach 70. w dużym pośpiechu na lokum dla Edwarda Gierka z okazji Dożynek, od razu straciła w moich oczach. Obecnie jest to muzeum wnętrz, ale stylowych jest mało i robią wrażenie luźnego zbioru mebli od XVII w. do początku XX, wstawionych dość przypadkowo. Byłam wyraźnie rozczarowana, dlatego raczej namawiam na spacer wokół pałacu niż zwiedzanie.

Na koniec chciałabym jeszcze dodać parę słów na temat małej architektury o wymowie patriotycznej. Znalazłam kilka miejsc na Podlasiu, przypominających o toczonych tu bitwach o wolność, skromnych ale wymownych i najciekawszy moim zdaniem, historyczny monument poświęcony Tadeuszowi Kościuszce w Siedlcach.

Postanowiłam w tym roku ponownie tam pojechać, zaczynając od Białowieży, której z braku czasu nie mogłam zwiedzić. Niektóre miejsca mam ochotę zobaczyć powtórnie, by wrażenie rzadkiej urody utrwalić.

Ula ŁUKOMSKA
artystka-malarka



Wieści z ratusza

POWSTANIE BUDYNKU MIESZKALNY DLA SENIORÓW I NIEPEŁNOSPRAWNYCH

19 marca w Urzędzie Miejskim w Śremie odbyło się oficjalne podpisanie umowy na budowę budynku mieszkalnego dla seniorów przy ul. Powstańców Wlkp. w Śremie.

Śremskie TBS Sp. z o.o. w ramach prowadzonej inwestycji do połowy 2019 roku odda w najem 26 mieszkań jedno (33 m²) i dwupokojowych (41 m²), dostosowanych do osób starszych i niepełnosprawnych. Budynek zostanie pozbawiony barier architektonicznych – szerokie korytarze, poszerzone drzwi, obniżone klamki okien oraz obniżone wyłączniki oświetlenia i winda będą przystosowane do osób poruszających się na wózkach inwalidzkich. W dolnej kondygnacji zaprojektowano przestrzeń z przeznaczeniem pod funkcjonowanie przychodni lekarskiej. Wokół budynku powstaną nowe miejsca parkingowe, nasadzenia, ławki oraz miejsca odpoczynku.

Nabór najemców był przeprowadzany wyłącznie wśród lokatorów zajmujących mieszkania komunalne o dużych powierzchniach. Po zwolnieniu oraz remoncie, mieszkania będą tworzyć zasób komunalny np. dla rodzin z dziećmi.

Wartość całej inwestycji wraz z opracowaniem dokumentacji projektowej wynosi blisko 5,5 mln zł. Wykonawcą wyłonionym w trybie przetargu zostało konsorcjum Inwest Lim Bis. Inwestycja jest w części finansowana przez Bank Gospodarstwa Krajowego.

KLUB SENIOR+ W ŚREMIE

Gmina Śrem otrzymała dotację na utworzenie i wyposażenie Klubu Senior+. Wniosek został wysoko oceniony i otrzymał dofinansowanie

z Ministerstwa Rodziny Pracy i Polityki Społecznej, w ramach Programu Wieloletniego „Senior+” na lata 2015-2020, w pełnej wnioskowanej wysokości, czyli 150 tys. zł.

Głównym założeniem projektu jest wzmocnienie potencjału, umożliwienie rozwoju osobistego, aktywności i samorealizacji, zapobieganie izolacji oraz integracja społeczna osób po 60. roku życia zamieszkających na terenie gminy Śrem. Dla uczestników Klubu Senior+ planowana jest bogata oferta aktywizacyjna.

Aktualnie trwają prace nad opracowaniem projektu aranżacji przestrzeni Klubu, który będzie się mieścić przy ul. Zamenhofa 2 w Śremie, przy planowanym zintegrowanym węźle przesiadkowym. Sprawny system transportu zbiorowego pozwoli dotrzeć seniorom z każdego miejsca w gminie (miasta i wsi) komunikacją publiczną.

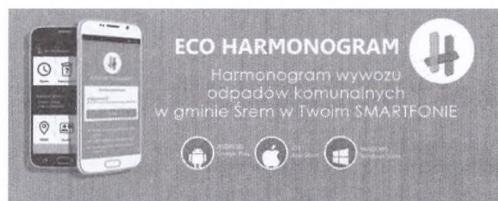
ŚREM ZAANGAŻOWANY W KULTURĘ

Narodowe Centrum Kultury ogłosiło ranking samorządów zaangażowanych w kulturę 2018 r. Gmina Śrem znalazła się na 35 pozycji w kategorii gmin miejsko-wiejskich o średniej zamożności. Ta kategoria liczy 308 gmin.

Ekspert NCK oceniali trzy elementy:

- działalność i uczestnictwo w kulturze (waga 0,5)
- wydatki na kulturę per capita (waga 0,25)
- udział kultury w budżecie (waga 0,25)

Ranking uwzględnia dane finansowe oraz dane na temat życia kulturalnego w poszczególnych gminach, pozyskane z Głównego Urzędu Statystycznego oraz Ministerstwa Finansów za lata 2015-2016.



NOWA APLIKACJA ECOHARMONOGRAM

Gmina Śrem uruchomiła aplikację, która przypomni o terminie wywozu odpadów, zasadach ich segregacji oraz terminach opłat – Eco Harmonogram. Jest to bezpłatna usługa kierowana do mieszkańców gminy Śrem, przydatna przy codziennej segregacji odpadów komunalnych. Wpisując adres zamieszkania, mieszkańców w prosty sposób wyszuka swój harmonogram odbioru odpadów komunalnych.

Istnieje również możliwość otrzymywania powiadomień SMS o terminach opłat i podatków lokalnych – wystarczy wpisać swój numer telefonu. Informacje szczegółowe dostępne są na srem.pl.

UCZNIOWIE SŁUCHAJĄ O ZAGROŻENIACH NATURALNYCH

Uczniowie klas pierwszych, czwartych i siódmych ze szkół na terenie gminy Śrem uczestniczy

w spotkaniach edukacyjnych na temat zagrożeń w czasie pokoju. We wszystkich szkołach na cały kwiecień zaplanowano łącznie 39 spotkań. W trakcie spotkań przedstawiciele Urzędu Miejskiego w Śremie i Straży Miejskiej poruszają problemy związane z występującymi w gminie zagrożeniami naturalnymi: powodzią, pożarami, burzami i nawałnicami. Prowadzone są dyskusje na temat bezpiecznego zachowania podczas wypoczynku.

PROFILAKTYKA W GMINIE ŚREM

Gmina Śrem w 2018 roku po raz kolejny należy do grona samorządów, które aktywnie wspierają profilaktykę nowotworową w Polsce. Gmina sfinansuje szczepienia przeciw wirusowi brodawczaka ludzkiego HPV, odpowiedzialnemu za powstawanie raka szyjki macicy. Biorąc pod uwagę rekomendacje światowych i polskich towarzystw medycznych, podjęto decyzję o zaszczepieniu mieszkanek gminy Śrem z rocznika 2005, zameldowanych na terenie gminy Śrem na dzień 31.12.2017.

Wirus HPV odpowiada za różne przednowotworowe i nowotworowe zmiany na błonach śluzowych narządów płciowych i innych okolic ciała. W skali całego świata rak szyjki macicy jest drugim co do częstości rakiem, który dotyka kobiety.



W Polsce raka szyjki macicy wykrywa się u 3.600 kobiet rocznie, z czego umiera około 2.000 – jest to jeden z najwyższych wskaźników umieralności w Europie.

RUSZA BUDŻET OBYWATELSKI ŚREMU 2019

Burmistrz Śremu informuje o przeznaczeniu kwoty w wysokości 800 000 zł na Budżet Obywatelski Śremu 2019.

Zgodnie z zapisami uchwały w sprawie konsultacji społecznych dotyczących budżetu obywatelskiego podział puli środków przedstawia się następująco:

- projekty ogólnogminne: 400 000 zł
- projekty lokalne miejskie: 200 000 zł
- projekty lokalne wiejskie: 200 000 zł

Harmonogram

1 – 30 czerwca

Składanie wniosków do budżetu obywatelskiego.

1 lipca – 9 sierpnia

Weryfikacja złożonych wniosków.

10 – 30 sierpnia

- Publikacja zgłoszonych projektów na platformie budżetu obywatelskiego.
- Procedura odwoławcza i ponowna publikacja.

sierpień / wrzesień

Promocja zakwalifikowanych projektów.

14 – 23 września

Głosowanie.

24 września

Ogłoszenie wyników.

2019

Realizacja zwycięskich projektów.

Elektroniczny system Budżetu Obywatelskiego Śremu jest już dostępny – można tworzyć robocze wersje wniosków.

Więcej informacji na stronie budzetobywatelski.srem.pl.



Pula Budżetu Obywatelskiego Śremu 2019

800.000 zł



Projekty
OGÓLNOGMINNE



400.000 zł

Projekty lokalne
MIEJSKIE



200.000 zł

Projekty lokalne
WIEJSKIE



200.000 zł

więcej informacji na stronie
budzetobywatelski.srem.pl

MUZEUM
Ś R E M S K I E

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl


wystawa
MAJOR FLORIAN DĄBROWSKI
BOHATER DWÓCH POWSTAŃ NARODOWYCH

**IMIENINY ULICY
FLORIANA DĄBROWSKIEGO**
4 maja 2018, godz. 18
ul. Floriana Dąbrowskiego w Śreмі

**muzyka bez prądu
sąsiedzki bookcrossing
mini kiermasz książkowy
kawa, herbata, ciasteczka**

raptularz ulicy

Dyrektor Muzeum Śremskiego
zaprasza na spotkanie z

Andrzejem Krzyżanowskim
Marszałkiem Stowarzyszenia Potomków Sejmu Wielkiego

6 maja 2018 roku, godz. 15.00



śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

**NAJBLIŻSZE WYJAZDY DO
FILHARMONII
POZNAŃSKIEJ
ZE ŚREMSKIM OŚRODKIEM KULTURY**

NASTROJE RÓŻNYCH EPOK
185 ROCZNICA URODZIN JOHANNESA BRAHMSA
11 maja 2018 (piątek)
Aleksandra KUBAS-KRUK - sopran, Łukasz BOROWICZ - dyrygent,
prowadzenie koncertu Orkiestra Filharmonii Poznańskiej



DLA DZIECI W KAŻDYM WIEKU
01 czerwca 2018 (piątek)
Jakub CHRENOWICZ - dyrygent
Orkiestra Filharmonii Poznańskiej

KOSZT: 30 zł (bilet i przejazd)
Zbiórka godz.: 17:10 Stary Targ
Liczba miejsc ograniczona
Rezerwacje w ŚOK lub pod nr. tel.: 61 28 35 904

 www.klimakterium2.art.pl 

Włóczęga
KLIMAKTERIUM 2 czyli
menopauzy szat

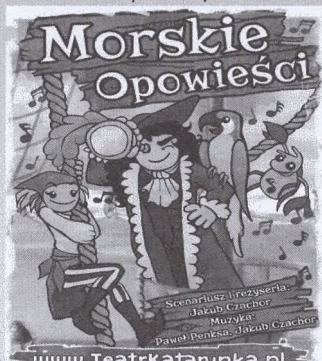


26.05 GODZ.: 19:00
HALA BAZAR
BILETY: 85 ZŁ 

ZAPISY I INFORMACJE W ŚOK LUB POD NR TEL.: 61 28 35 904

**SCENA TEATRALNA
KINOTEATRU "SŁONKO"
prezentuje:**

**Morskie
Opowieści**



Scenariusz i reżyseria:
Jakub Czacher
Muzyka:
Paweł Pencak, Jakub Czacher

www.Teatrkatarynka.pl

w wykonaniu Teatru Katarynka
10 MAJA godz. 16:00, 17:30
Bilety: 10 zł Rezerwacje w ŚOK lub pod nr tel.: 61 28 35 904.

 śremski ośrodek kultury 

**SCENA TEATRALNA
KINOTEATRU "SŁONKO"
prezentuje:**

Ciocia Jadzia
w wykonaniu
TEATRU FUZJA



7 czerwca godz. 16:00, 17:30
Bilety: 15 zł Rezerwacje w ŚOK lub pod nr tel. 61 28 35 904

 śremski ośrodek kultury 

(DO)WOLNOŚĆ CZYTANIA – XXV Ogólnopolski Tydzień Bibliotek

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich organizuje, w dniach 8-15 maja, Tydzień Bibliotek – program promocji czytelnictwa i bibliotek. Ma on na celu podkreślanie roli czytania i bibliotek w poprawie jakości życia, edukacji oraz zwiększanie prestiżu zawodu bibliotekarza i zainteresowania książką szerokich kręgów społeczeństwa. (<http://www.sbp.pl/>)

Biblioteka Publiczna w Śremie, co roku, angażuje się w obchody Ogólnopolskiego Tygodnia Bibliotek. Tegoroczne hasło – (DO)WOLNOŚĆ CZYTANIA – doskonale oddaje szeroką ofertę naszej Biblioteki. Czytelnicy znajdują u nas tradycyjną prasę i książki, a ponadto zachęcamy do korzystania z audiobooków oraz oferujemy darmowy dostęp do e-booków. (DO)WOLNOŚĆ CZYTANIA pozwala na swobodny wybór tego co, gdzie i jak chcemy czytać; czasopismo czy książkę, tradycyjnie czy elektronicznie. Chcemy inspirować do czytania poprzez nieograniczony dostęp zarówno do książki jak i do biblioteki. (DO)WOLNOŚĆ rozumiemy więc, także jako wolny wybór dowolnej propozycji, których mamy całą gamę. Balansując (DO)WOLNIE między książką, filmem, teatrem czy spotkaniem z interesującym Człowiekiem, Czytelnik w każdym wieku ma w naszej bibliotece nieograniczone możliwości rozwoju oraz dostępu do kultury, historii i tradycji.

W programie tegorocznego Tygodnia Bibliotek w śremskiej bibliotece proponujemy, między innymi, obejrzenie wystawy CZYTANIE ON-LINE promującej czytelnictwo elektroniczne, głośne czytania dla przedszkolaków, spotkania autorskie dla dzieci i młodzieży z Małgorzatą Strękowską-Zarembą, zajęcia w mediatece, wieczór

przy gramofonie czy koncert poetycko-muzyczny zespołu MUS TRIO. Szczegółowy program dostępny jest na stronie biblioteki www.biblioteka.srem.pl

Koło SBP przy Bibliotece Publicznej w Śremie



DOWOLNOŚĆ CZYTANIA!

znajdź swoje miejsce w Bibliotece

TYDZIEŃ BIBLIOTEK
8-15 maja 2018

Biblioteka
Publiczna im. H. Świąteczkiego w Śremie



Rozmowy młodzieży o książkach

Pomysł rozmów o książkach zrodził się w Bibliotece Publicznej w Śremie podczas spotkania z młodymi liderami czytelnictwa w styczniu 2016 r. Dyskusjom o przeczytanych książkach nie było końca, dlatego młodzież zainicjowała kolejne spotkanie. Tak powstał projekt pod nazwą BOOK-SZPAN, którego celem jest promocja czytelnictwa wśród młodzieży. Od dwóch lat młodzież spotyka się w bibliotece i nagrywa swoje dyskusje o książkach. Filmy można oglądać na stronie [www. biblioteki](http://www.biblioteki). O książkach potrafią rozmawiać godzinami i z pasją. Piszą też recenzje...



BOOK SZPAN

Wiele światów Albiego Brighta
Christopher Edge

Na pierwszy ogień idzie przeczytana przeze mnie w dwie, trzy godzinki niesamowita książka autorstwa Christophera Edge. Widząc ją po raz pierwszy w bibliotece zaintrygował mnie jej tytuł oraz opis – no i grubość – są to zaledwie 183 strony. Pierwsze zdanie opisu brzmi: „Jak wiele byś zrobił, żeby zmienić świat?” Przyznajcie, już samo to wywołuje u nas chęć przeczytania dalszej części.

Głównym bohaterem książki jest tytułowy Albi Bright – a raczej Albert Stephen Bright. Jest to uczeń szóstej klasy szkoły podstawowej, ale niech to Cię nie zmyli! O nie, nie. Nie jest to typowa książka o uczniu podstawówki. To niezwykle chłopiec z jeszcze bardziej niezwykłą rodziną. Jego rodzice są naukowcami i starają się dowiedzieć jak to wszystko się zaczęło – Wielki Wybuch, kosmos, życie. Używają do tego specjalnie skonstruowanego urządzenia, które pozwala oglądać najmniejsze drobinke we wszechświecie – atomy. Uwaga, nie zrażaj się tym opisem! Jeśli nienawidzisz fizyki, to ta książka jest idealna dla Ciebie (później to wytłumaczę)! Tak więc, cała historia zaczyna się od tego, że Mama Albiego nie żyje i teraz chłopiec nie poddając się, chce za wszelką cenę ją odnaleźć, za pomocą nauki, a konkretniej – fizyki kwantowej. Zmotywowany, bierze wszystko w swoje ręce i próbuje wyruszyć – bez żadnego przygotowania – w szaloną podróż do świata równoległego.

Cała historia jest tak skonstruowana, że czytelnik nie ma innej opcji, jak „pochłonąć” całą książkę przy jednym posiedzeniu. Zapewne część z Was nie jest wielkimi fanami nauk ścisłych – otóż nie zrażajcie się tym! Jest to niepowtarzalna okazja

w końcu zrozumieć odrobinę więcej niż ze zwyczajnej lekcji fizyki! Naprawdę, nie kłamię! Jako, że książka jest pisana z perspektywy Albiego, całą treść da się spokojnie przyswoić, wszystko jest banalnie wytłumaczone – jak dziecku – nagle cała fizyka staje przed Tobą otworem. Autor naprawdę w niespotykany sposób połączył naukę z wymyśloną historią, w dodatku pełną przesłania. Porusza ona kwestię wartości rodziny, żałoby i sposoby radzenia sobie z nią. Możemy się również dowiedzieć, jak bardzo podjęte decyzje wpływają na nasze życie i jak bardzo ten sam człowiek jest w stanie się zmienić. Do samego końca nie jesteśmy pewni jak skończy się ta historia i czekamy w napięciu na punkt kulminacyjny. Gdy już on następuje, doznajemy pewnego rodzaju olśnienia i cała historia zaczyna do nas trafiać, każdy drobny kawałeczek zaczyna składać się w całość.

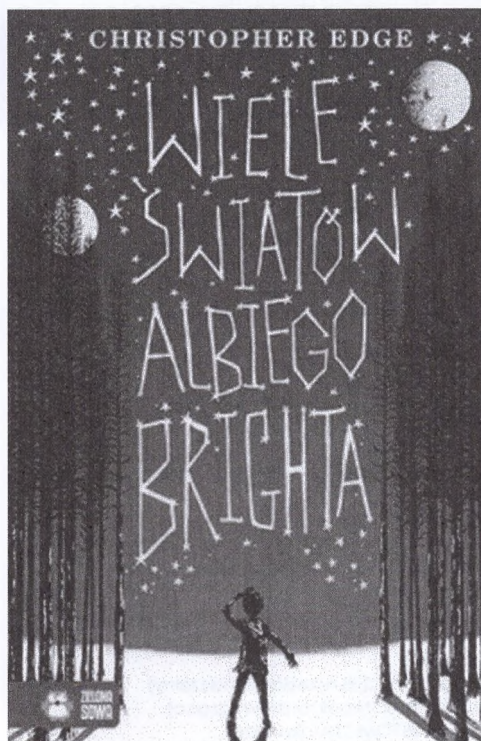
Dawno nie czytałam tak dobrej książki. Zazwyczaj sięgam po znacznie grubsze (wolę dłużej nacieszyć się bohaterami i fabułą), jednak w jakiś magiczny sposób to dzieło przykuło moją uwagę i oto dziś jest pierwszą recenzją książek wartych polecenia! Mam szczerą nadzieję, że te fizyczne określenia Cię nie zniechęcą, a wręcz przeciwnie, sprawią, że w końcu poczujesz chemię do fizyki! Jestem przekonana, że nawet osoba z podstawówki zrozumie te wydające się na pierwszy rzut oka skomplikowane zagadnienia! Być może nawet zagłębisz się później jeszcze bardziej w cały ten szalony świat fizyki.

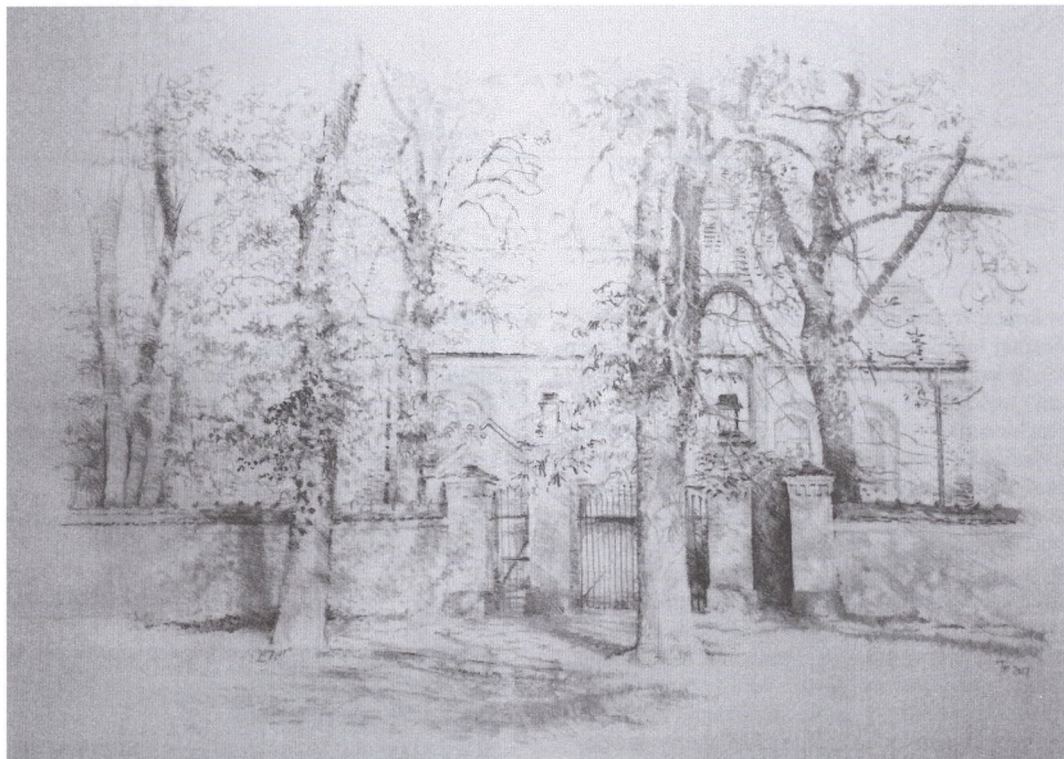
Czuję, że odrobinę zmieniłam swoje postrzeganie na sprawy związane z rodziną, żałobą. Mam nadzieję, że Ty, czytając tę książkę, również odkryjesz coś nowego, co wzbogaci Twoje wnętrze oraz że czytając będziesz się bawił równie dobrze jak ja!

A teraz czas na cytaty:

- 1) „Aby dowiedzieć się, że coś jest możliwe, koniecznie należy zrobić coś, co jest niemożliwe”.
- 2) „Zazwyczaj powinieneś trzymać mocno to, co kochasz, aby nie odleciało. Jak latawiec. Ale czasem wiesz, że musisz pozwolić temu swobodnie odlecieć”.
- 3) „I w tobie i we mnie tkwi pierwiastek nieba. Wszyscy jesteśmy utkani z gwiazdnego pyłu”.

Ewa SZNURA





Kościół w Dalewie. Rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Marek Piasecki, pastel
IV – Stanisław Celichowski

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208, www.drukarniasrem.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

ZŁODZIEJEWO

Osiedle domów jednorodzinnych między ulicami Grunwaldzką, 1 Maja i Kilińskiego powstałe na początku lat 60. z materiałów „skombinowanych przez właścicieli”, jak złośliwie mówiono w Śremie.



Foto: Skarbnica Historyczna Śremu



Foto: Piotr Pieczykolan, 2016

1918–2018

100. rocznica wybuchu
Powstania Wielkopolskiego

ŚREMSKI PANTEON NIEPODLEGŁOŚCI



Stanisław Celichowski (1885–1947)

